odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok IV
Łódź, 11. VIII. 63.
Nr 32 (284)
Cena — 1 zł.

JAN BĄBIŃSKI

WIELKI SZEWC

Nie wiadomo kiedy staliśmy się potęgą obuwniczą, Łódź stała się centrum tej potęgi.

Pan „Skórimpex" zameldowany na pobyt stały w Łodzi, pchnął w zeszłym roku w cztery strony świata drobnostkę: dwa i pół miliona par obuwia skórzanego. Słuchajcie, słuchajcie, w pierwszym półroczu tego roku wysłał na Bliski i Daleki Wschód, a także do obu Ameryk dwa razy więcej trzewików, półbutów, butów, damskich szpilek niż w całym 1962 roku. Łódź to dziś stolica szewców. Przejęła pałeczkę. Może od Krakowa, przecież Kraków rozkwitał rzemiosłem, dostojni jego rajcowie kroczyli na ratusz w prześławnych trzewikach „made in Cracovia", zwanych nosalami. Im nos u buta był dłuższy, bardziej podobny do mysiego ogonka, tym wyższą pozycję zajmował pan rajca w trzecim stanie, mieszczańskim. Po nosie go poznałeś... Tak jak dzisiaj poznajesz ich po długości płetwy ogonowej aut, które stoją skromniutko na Traugutta, jak owe niewinne dziewice przed „Grandką".

Więc Kraków? Nie, raczej Warszawa, gród Kilińskiego.

Zaledwie 60 lat temu szewstwem trudniło się w Warszawie aż 15 tysięcy rzemieślników, którzy od świtu do nocy brali na palec nić z konopi z wkręconą szczeciną. Cóż to byli za majstrowie, ukłon im do samej ziemi, mistrze nad mistrzami. W odwet za klęski przodków wzięli Sankt Petersburg pierwszym szturmem. Zalali białe miasto nad Newą nadwiślańskim obuwiem. W 1897 roku dochód z wywozu obuwia na Wschód wzniósł się do fantastycznej sumy 30 milionów rubli. Buciki znad Wisły lekkie, zgrabne, eleganckie. Carskie imperium podbił warszawski szyk.

Prototyp maszyn, które wirują dziś w Chełmku nie zrodził się jednak w „kraju nadwiślańskim", z głowy szewca na Marienszatcie.

Mechaniczny sprzęt wsunął „dratewce" do ręki niejaki Brunnel, chociaż i on nie rozróżniał jeszcze lewej nogi od prawej i fabrykował buty na jedno kopyto. Brunnel był Anglikiem, patriotą, któremu utkwiła raz na zawsze szkolna dewiza „right or wrong my country", w dowolnym tłumaczeniu: — „Anglia, moja ojczyzna über alles". Ten jegomość należał do gildii businessmenów, łączył patriotyzm z własnym interesem. Po angielsku. Dumał, dumał, aż uwiesił się myśli, że na wojnie dobry but jest najważniejszy. Zaprzysiągł sobie, że obuje w trwałe, tanie buty angielską armię, która akurat szykowała się do żabiego skoku przez duży kanał, aby już na kontynencie wbić ostatni ćwiek do zbijanej tak długo trumny „wojennego przestępcy" z Korsyki. Brunnel umieścił w zaimprowizowanych szopach sztance nie sztance, to on je skonstruował i w krótkim czasie zaczął wytwarzać po 400 par obuwia dziennie. Rekord, od którego zjeżyły się włosy czcigodnym mistrzom dratwy.

Pobiliśmy przeklętych Francuzów pod Waterloo, bo nasi żołnierze mieli lepsze buty — głosił potem Brunnel wszem i wobec.

But dla żołnierza tyle wart co dobra wintówka. Dowcip przyciężki, ale jak w każdym żarcie mruga w nim małe oczko prawdy! Co 4 legionista Napoleona odpadał w drodze na pole bitwy. Mon general, nie mogę już dalej, moje stopy są jedną wielką raną. W jej długich marszach wzdłuż i i wszerz kontynentu „Grande Armee" topniała jak wiosenny śnieg pod moskiewskim niebem. Natomiast dżentelmeni z Oxfordu po dziś dzień przedkładają wygodny trzewik ponad wszystko. Oficerowie i piechurzy Jej Królewskiej Mości nic sobie nie robiąc z prądów i mody, człapią jak przed wiekiem w „kaczych dziobach", butach okropnie szerokich, płaskich, o podniesionych, za to jakże przestronnych nosach. Na tych kaczych dziobach jakoś zawsze trafiali tam, gdzie chcieli, w samą porę.

Anglia leży za morzem, Zlin leżał za karpacką miedzą.

Czesi nas ochrzcili, gdy tysiąc lat stuknęło na zegarze dziejów, obdarowali nas Batą. Tomasz Bata, postać interesująca, upodobał sobie tonący w zieleni, górzysty Zlin, lecz stawiał swe fa-

Dokończenie na str. 4

PANORAMA NOWEJ ŁODZI

Fot. E. Kudaj

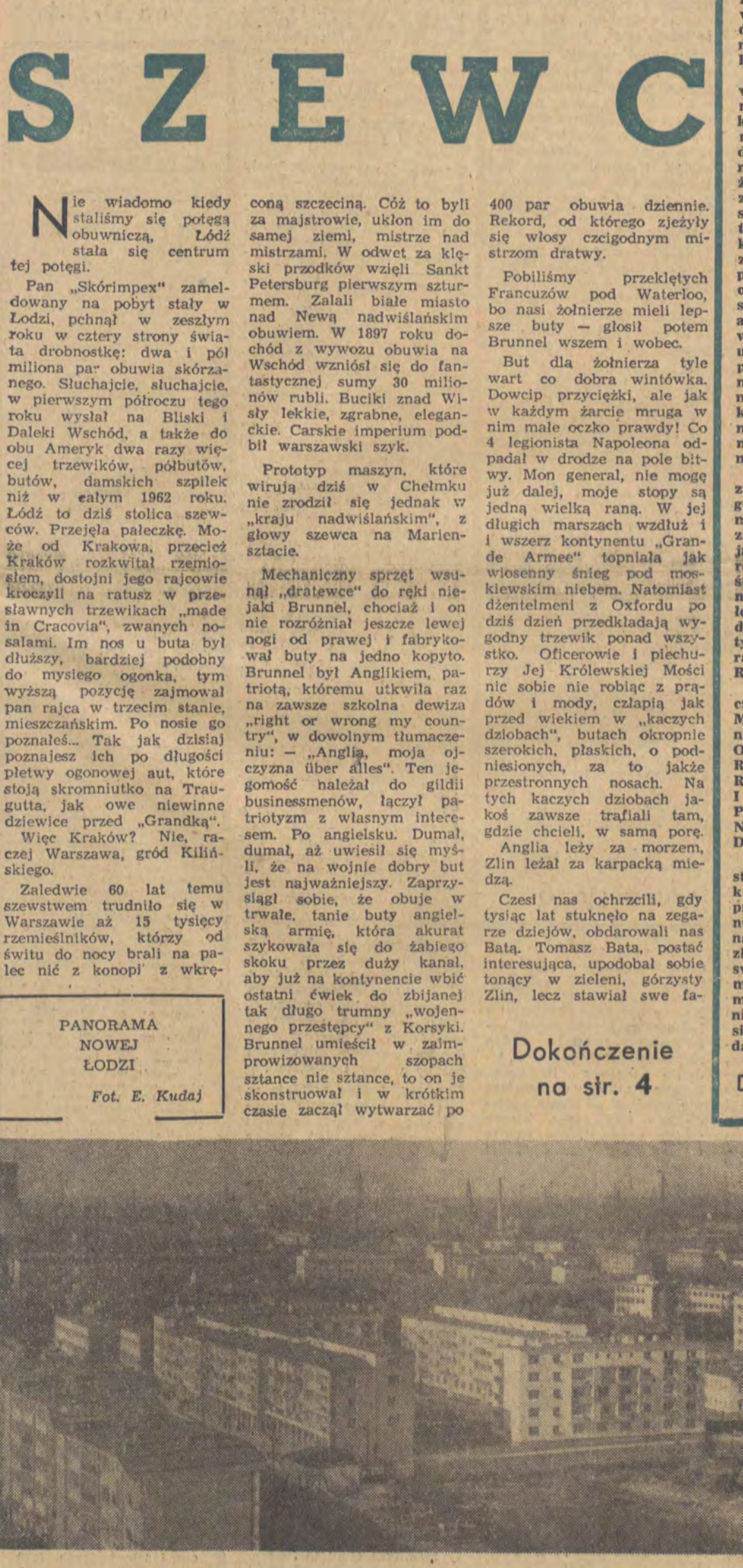

WIESŁAW BEK

Lato nadziei

Wakacyjne, optymistyczne prognozy w polityce międzynarodowej spełniły się z nawiązką. Wielu polityków w najśmielszych nawet marzeniach nie mogło oczekiwać, że lipiec i sierpień 1963 zapiszą się na trwałe na kartach walki o pokój dla świata. Owszem — z moskiewskimi rozmowami wiązano duże nadzieje, zdawano sobie sprawę, że skoro politycy poświęcają wakacje na poważne rozmowy — „gra" musi być warta przysłowiowej „świeczki". Kto mógł jednak oczekiwać, że po kilku zaledwie dniach negocjacji rozmowy moskiewskie zakończą się takim sukcesem?

A sukces jest niewątpliwy. Układ parafowany, a następnie podpisany w Moskwie przez trzy wielkie mocarstwa: Związek Radziecki, Stany Zjednoczone i W. Brytanię, choć może nie ma największego znaczenia militarnego — spełnia wielką rolę p o l i t y c z n ą — jest wstępnym krokiem do dalszych porozumień, z których jako pierwsze wymienia się pakt o nieagresji między państwami — członkami NATO a sygnatariuszami „układu warszawskiego". Znaczenie układu wybiega więc daleko poza jego paragrafy, miernikiem zaś porozumienia musi być również zapoczątkowany „nowy klimat" — najmodniejsze chyba obecnie słowa w języku dyplomatycznym świata.

Nie ma więc takiego zakątka kuli ziemskiej, gdzie by trójstronne porozumienie o częściowym zakazie doświadczeń z bronią jądrową nie odbiło się szerokim echem. Ponad 90 spośród około 130 państw istniejących na świecie zgłosiło już chęć przystąpienia do tego układu. Taką natychmiastową gotowość wyraził również rząd Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej.

„WSZYSCY LUDZIE — czytamy w oświadczeniu Ministerstwa Spraw Zagranicznych — ŚWIADOMI ODPOWIEDZIALNOŚCI RZĄDÓW. PAŃSTW I NARODÓW ZA ZACHOWANIE I UTRWALENIE POKOJU PRZYJĘLI POROZUMIENIE... Z UZNANIEM I NADZIEJĄ".

Polska, jak zresztą wszystkie z ponad 90 krajów, które poparły układ, nie przeprowadzą żadnych prób nuklearnych. Kraje te jednak deklarując gotowość złożenia pod układem swoich podpisów — tym samym zobowiązują się pomagać w jego przestrzeganiu i rozwijaniu, biorą na siebie odpowiedzialność za dalszy rozwój współpracy w

Dalszy ciąg na str. 2

PERU: tierra o muerte

ZBIGNIEW KOWALEWSKI

17 listopada 1962 roku latynoamerykańska agencja prasowa „Prensa Latina" poprzez swój biuletyn informacyjny posłała w świat wiadomość następującej treści:

„Lima, 17 list. (PL). Grupa chłopów napadła na lokal komisariatu we wsi Pujyura w dolinie Convencion, niedaleko od Cuzco. Rezultatem starcia była śmierć dwóch policjantów i należy przypuszczać, że chłopi wycofali się, unosząc z sobą dużą ilość broni".

Z późniejszych doniesień agencyjnych wynikało, że zbuntowanymi chłopami dowodził człowiek nazwiskiem Hugo Blanco.

Tak zaczęła się wojna partyzancka Indian w Peru.

KATAKLIZM

Ekspansywni Inkowie, budujący na olbrzymich przestrzeniach Ameryki Południowej swoje imperium Tawantinsuju mieli wszelkie dane ku temu, by rozwijać pomyślnie gospodarkę, kulturę i państwowość. Postępujący rozwój form własności prywatnej powodował rozkład ustroju rodowego i wyodrębnianie się klas a federacja plemienna nabierała kształtu państwa. „Poziom życia przeciętnego Indianina — pisał John A. Crow — był niewątpliwie prymitywny. Niemniej jednak każdy, kto był zdolny do pracy, mógł pracować, chorzy nie byli pozbawieni opieki, przestępczość była znikoma, starcom i ułomnym nic nie brakowało... Główną siłą napędową gospodarki Inków była raczej współpraca dla dobra ogółu, niż rywalizacja o zyski". Rolnictwo nie stało niżej niż w Europie, ziemię nawadniano i nawożono, heroizm pracy widać w wiszących tarasach, które należą — jak pisał William Foster — „do największych konstrukcji, jakie kiedy kolwiek stworzył człowiek". Byli wówczas ludźmi wolnymi, jak może być wolnym człowiek w społeczeństwie przedklasowym.

Lądowanie Hiszpanów rzuciło ich w otchłań niewoli i nowych, obcych im stosunków wytwórczych. Na ich oczach dokonywały się barbarzyństwa i zbrodnie na miarę im nieznaną. Przymus ekonomiczny strącił ich do roli poddanego chłopstwa, do roli peonów pozbawionych ziemi, wszelkich praw i godności oraz wprzągł w system pracy niewolniczej w kopalniach i przemyśle włókienniczym, gdzie na pięciu Indian czterech umierało w pierwszym roku pracy. Znaleźli się na dole drabiny społecznej, obcej im z racji stopnia rozwoju sił wytwórczych, na jakim znajdowali się w chwili klęski. Zniszczono ich kulturę i nie pozwolono na jej odrodzenie. Marli z głodu i zawleczonych tu chorób, gnuśnieli w zacofaniu, ciemnocie i prymitywie. Indianin stał się synonimem poddanego chłopa i niewolnika; władza, bogactwo, postęp i wiedza były udziałem białego Kreola, potomka hiszpańskich zdobywców. Tak jest na peruwiańskiej wsi do dziś: z jednej strony bezrolne chłopstwo indiańskie, z drugiej Kreole, wielcy właściciele ziemscy.

Widmo zagłady, tkwiące w wegetacji i krańcowym upadku kulturalnym wyzwoliło w Indianach siły rozpaczy. W dwieście pięćdziesiąt lat po podboju, w roku 1780, 60 000 Indian rzuciło się do broni na wezwanie samozwańca mieniącego się Tupakiem Amaru II. Pod hasłami wskrzeszenia imperium Inków, powiódł on lud do powstania i wojny partyzanckiej, lecz zwabiony przez Hiszpanów obietnicą amnestii zginął śmiercią męczeńską w Cuzco. Ostatnie jego słowa skierowane do oprawcy brzmiały: „Nie ma tu więcej partnerów niż ty i ja: ty jako ciemiężca, ja jako wyzwoliciel, zasługujemy na śmierć" Bestialstwo, z jakim został zamordowany, wyzwoliło nowy rozpaczliwy bunt In-

Dalszy ciąg na str. 5

Arystarch

SCUGNIZZI
czyli
ksiądz-ulicznik

Przejrzałem kilka ostatnich numerów popularnego magazynu „Paris-Match" i zirytowałem się nieźle (może, lepiej, powiedzieć: zirytowałem się nielicho; zresztą, mniejsza z tym, ważne to, że gwara uliczna zaczyna wdzierać się również do felietonu!). Ale zirytowałem się, bynajmniej, nie na „Paris Match", tylko, na marginesie wyczytanych tam informacji zirytowałem się na chwalców „zachodniego stylu życia" i na tych, co wysławiają stopę życiową i dobrobyt na Zachodzie, „dobrobyt", który w zestawieniu z rzetelnymi informacjami dziennikarskimi „pryska" raz po raz i okazuje się, mówiąc eufemistycznie, mitem. Bo proszę, posłuchajcie państwo na przykład, co się stało w

Neapolu, tak, właśnie w tym bajecznym, cudownym Neapolu, o którym się mówi: „Zobaczyć Neapol i umrzeć"! Umrzeć z zachwytu, naturalnie, w Neapolu, przeznaczonym dla turystów. Bowiem istnieje jeszcze drugi Neapol nie przeznaczony dla kosmopolitycznych gości, egzaltowanych Angielek i Amerykanek, Neapol nędzy i brudu. W tym Neapolu nr 2 również można umrzeć, ale już tylko — z rozpaczy. Bo i któż z bogatych ladies i dżentelmenów, podróżujących w asyście agentów i przewodników międzynarodowych biur turystycznych, z Baedeckerem lub bez Baedeckera pod pachą, podejrzewa (podziwiając ze szczytu Posilippo najpiękniejszą zatokę świata), że istnieje również Neapol nr 2, siedlisko czarnej nędzy, najwyższych — jak twierdzą znawcy — nasileń i skupisk nędzy ludzkiej? Któż by podejrzewał, że w tej czarującej i urzekającej do zachwytu miejscowości jest na dwa miliony mieszkańców aż 150 tysięcy do 200 tysięcy bezrobotnych? Że pięćdziesiąt tysięcy dzieci to analfabeci, ponieważ w Neapolu nr 2 brak dostatecznej ilości budynków szkolnych? Że siedem tysięcy rodzin gnieździ się (po 10 osób na izbę) w lepiankach? Że uliczki cudnego Neapolu są wydane na pastwę scugnizzi, band dzieci, które włóczą się dzień i noc, obdarte i bezdomne, szperając w pojemnikach na śmieci, żebrząc, pośredniczące w rajfurstwie i stręczycielstwie, nocując w norach prostytutek?

A więc, zirytowałem się „nieźle" i wzruszyłem ramionami nie tylko na naszych zachwalaczy „zachodniego stylu życia", i zadałem sobie pytanie, na co, na Boga Ojca (a raczej — do czyjej kieszeni?) idą dolary i funty szterlingi turystów angloamerykańskich podróżujących do pięknej Italii, rządzonej przez chrześcijańską demokrację? A do larów i funtów musi płynąć niemało, skoro mer czy burmistrz, czy jak go tam zwą w słonecznym Neapolu, z poczucia... wstydu i dbałości o estetykę kazał wznieść mur z betonu dokoła tych nor i lepianek, żeby nie raziły one delikatnego wzroku i powonienia turystów, którzy płacą za słońce i palmy, lecz nie za brudy. Głosy dzieci, które krzyczą i płaczą z głodu, nie przebijają się przez ten mur wstydu (jak nazwał go reporter „Paris Match") i nie kaleczą delikatnego słuchu bogatych ladies i dżentelmenów. Za murem wstydu — inny świat! Świat Capri i Sorrento, gdzie umiera się nie z chorób i nędzy, lecz — z zachwytu. Angloamerykańscy turyści nie troszczą się, oczywiście, o to, co dzieje się w nowoczesnym getcie nędzy i głodu. Nie ich sprawa! Mają oni, zresztą, dosyć własnych bezrobotnych, dosyć własnej nędzy i głodu.

Ale nie wszystkie serca cudzoziemców i Włochów są z kamienia. Znalazł się jeden sprawiedliwy i wypowiedział wojnę nędzy i krzywdzie. Cóż jednak może jeden filantrop wobec żywiołu? Nec Hercules contra plures. A no, zobaczymy, jak to się zaczęło i na czym skończyło.

Trzynaście lat temu ksiądz Mario Borelli z diecezji Neapolu zgłosił się do swego zwierzchnika arcybiskupa-kardynała i wyjawił mu swój zamiar podjęcia akcji charytatywnej wśród band scugnizzi, dzieci, które porzuciły dom rodzinny, ponieważ nie znajdowały tam chleba ani miłości, i wyszły na ulicę. Ksiądz Borelli zgłosił się do swego zwierzchnika podobnie jak to uczynił wcześniej jego kolega (opisany w głośnej sztuce Hochhuta „Zastępca") zgłaszający się do papieża Piusa XIII w sprawie ludobójstwa w Oświęcimiu. Audiencja u filogermańskiego zastępcy Piotra Apostoła zakończyła się, jak wiadomo, fiaskiem. Natomiast Eminencja neapolitański zdębiał wobec propozycji księdza i kazał mu przyjść za dziesięć dni. Po dziesięciu dniach ksiądz Borelli przyniósł dodatkowo fotosy z getta głodu, pokazał Eminencji i powiedział: „Być scugnizzo to wierzyć, że wszystkie kobiety są ladacznicami, mężczyźni bandytami i złodziejami, policjanci sadystami, zaś księża kłamcami".

Kardynał ustąpił, wyraził zgodę i oto nazajutrz ulicznicy neapolitańscy ujrzeli clocharda w brudnej podartej koszuli i dziurawych kapciach, który zbierał z chodnika niedopałki, pluł siarczyście i drapał się jak by był ofiarą miliona pcheł.

— Coś ty za jeden, bracie? — zapytał jeden z urwisów.

Ksiądz—scugnizzo wyciągnął z kieszeni paczkę amerykańskich papierosów, jeden banknot jednodolarowy i spis adresów melin i burdeli. Nazywam się Mario — powiedział.

Tak zaczęła się odyseja księdza przebranego za włóczęgę, ulicznika, clocharda, który brał udział w życiu band dzieci z getta głodu, był wspólnikiem ich kradzieży, uciekał z łupem z bandą ściganą przez żandarmów, rozbijał skarbonki w kościołach, pośredniczył w rajfurstwie, stręczył klientom nierządnice, utrzymywał kontakty z alfonsami, żebrał, zbierał niedopałki papierosów, nosił bagaże turystów. Gdy się czyta historię tego księdza-clocharda wśród neapolitańskich obdartusów i gdy bierze się pod uwagę rozmiary społeczne klęski nędzy, głodu i demoralizacji w Neapolu, to degrengolada pewnej części naszej młodzieży, (młodzieży, która mogła lecz nie chciała wrócić do pracy, a która ma zawsze zapewniony powrót do normalnego życia), opisana przez Tadeusza Papiera w „Magdale-

Dalszy ciąg na str. 6

ALEKSANDRA OCHALSKA

„Sprzedawcy" gazet... ludzie „Ruchu"...

Najświeższe wydanie „Odgłosów"! Rewelacyjne wiadomości! Niezwykłe zdarzenie w domu przy ulicy... Dość! Nie o reklamę tu przecież chodzi. Tak po prostu wykrzykiwali kiedyś uliczni sprzedawcy gazet, chcąc zbyć swój „towar". Swoje trzymane w garści gazety o innych oczywiście jak dziś nazwach. Zmieniły się czasy, zmienili się wydawcy, redaktorzy i sprzedawcy. Dziś nikt nam gazety do ręki nie wciska, zachwalając ją mrożącymi krew w żyłach tytułami artykułów. Aby tylko zyskała na wartości, aby można ją było prędzej wypchnąć. Po prasę sięgamy dziś sami. Gazeta stała się artykułem pierwszej potrzeby. Od niej przecież zaczynamy swój dzień pracy, swoje codzienne zajęcia, swój niedzielny wypoczynek.

TROCHĘ FAKTÓW I LICZB

Monopol na rozprowadzanie prasy zdobyło sobie — znane już dzisiaj w całej Polsce — **Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki „Ruch"**. Przejmując od swoich poprzedników — „Prasy" i „Czytelnika" — sprawę kolportażu, PUPiK „Ruch" w Łodzi dysponował w 1950 r. kilkoma zaledwie dziesiątkami różnych „budek" które zupełnie nie przypominały swoim wyglądem dzisiejszych, nowoczesnych kiosków typu TP 4. Z biegiem czasu w wyniku swej działalności, „Ruch" coraz bardziej rozprzestrzeniał się ze swymi punktami sprzedaży detalicznej i w roku 1959 miał ich już 600. Obecnie, tj. w roku 1963 mamy na terenie Łodzi i województwa 1.130 kiosków „Ruchu". Z tej liczby 400 kiosków rozsianych jest po większych oraz mniejszych wsiach i osadach. Zważywszy, że koszt budowy jednego nowoczesnego kiosku z światłem jarzeniowym i gumolitowym obiciem podłóg wynosi około 40.000 złotych, skromniejszego zaś, o mniejszych nieco wymiarach około 20.000 zł, trzeba przyznać, że fakt zdublowania przez „Ruch" sieci kiosków, w okresie kilku zaledwie lat, jest nie lada sukcesem. Ażeby utrzymać jednak tak potężną sieć punktów sprzedaży, która z roku na rok rozszerza swój zasięg, nie można niestety, handlować jedynie samą prasą.

Chodzi bowiem nie tylko o interes, ale i o zarobki sprzedawców, którzy pracują z „Ruchem" jedynie na zasadzie zawarcia umowy ajencyjnej i wynagradzani są systemem prowizyjnym. Tak więc „Ruch", mając smutne doświadczenie z pierwszego okresu swojej działalności, kiedy to nie prowadził sprzedaży innych artykułów pozaprasowych i był instytucją deficytową, rozpoczął handel „czym się da". Małe, w szarym kolorze domki z płaskimi daszkami, pod którymi widnieje czerwony napis: „Ruch" stały się prawdziwymi „kramami" z tysiącem przeróżnych drobiazgów. W kioskach —

Dalszy ciąg na str. 4

informacje i zaczepki

Prasa, telewizja i radio, każde na swój sposób zajmuje się tak zwaną kulturą masową, popularyzując, każde w charakterystycznych dla siebie formach, przejawy amatorskiego ruchu artystycznego. Ostatnio redakcja młodzieżowa telewizji warszawskiej zwróciła się do Studenckiego Teatru Satyry „Pstrąg" z propozycją zrealizowania ogólnopolskiej audycji o pracy tego zespołu. Kierownictwo teatrzyku jakby w przeczuciu ewentualnych ocen niektórych krytyków, którzy zdecydowanie wypowiadają się przeciw zespołom amatorskim na antenie TV, zgodziło się na audycję składając w redakcji memoriał podkreślający charakter audycji: reportaż o pracy zespołu, ilustrowany co najwyżej kilkoma piosenkami i drobnymi fragmentami tekstów — nie zaś występ estradowy. Audycja się odbyła, jedni pochwalili, inni surowo zganili.

Jakkolwiek osobista ocena samego zespołu wcale nie jest entuzjastyczna; nikt tu nie popadł w samouwielbienie to wydawało się, że zrobiono przynajmniej przyzwoity reportaż. Okazuje się, że tak nie jest. Nie chodzi o to, że ten czy inny recenzent prasy warszawskiej, czy nawet łódzkiej potraktował, i powykrzywiał się, powspominał dawne dobre czasy, kiedy „Pstrąg" to ho, ho... Chodzi o to, by po pierwsze rozróżniać w telewizji gatunki, co powinno należeć już do obowiązków recenzentów i po drugie zdecydować się, czy telewizja ma spełniać jakąś rolę w upowszechnianiu osiągnięć amatorskiego ruchu artystycznego, czy też ma być jedynie dostępna dla zespołów i wykonawców zawodowych.

Sprawa jest istotna; chodzi bowiem o rzecz niebagatelną, o krzywdę jaką robi się amatorom działającym wiele lat w ruchu upowszechniania kultury. Telewizja wybiera zespół godny jej zdaniem pokazania. Dla zespołu jest to zawsze zaszczytne wyróżnienie. Występ na żywo, świadomość milionowej widowni; brak dostatecznej ilości prób; no i w końcu jakaś różnica poziomów między Hołoubkiem a studentem Politechniki; wpływają na to, że program ogólnie biorąc jest słabszy. I wtedy zaczyna się znęcanie recenzentów nad zaszczytnym amatorem. Za co? Za jaką winę? Odsądza się amatora od talentu; zapytuje się go gdzie i po co się pcha...

A: że recenzenci; jak wspomniałem wyżej nie bardzo chcą; czy potrafią rozróżnić gatunki; zdarza się, że reportaż oceniają jako program estradowy. To tak jakby powiedzmy Koźniewski przyniósł do redakcji „Podwieczorku przy mikrofonie" swój reportaż, a tam powiedzieli by „kiepski monolog", a Jan Gwóźdź zaniósł kolejną piosenkę do POLITYKI gdzie oceniono by ją jako słaby wstępniak. Na szczęście są jeszcze ludzie, którzy rozróżniają przedmioty i podmioty. Szkoda; że nie pisują recenzji telewizyjnych. (aw)

Lato nadziei

Dalszy ciąg ze str. 1

dziedzinie eliminowania nuklearnej groźby, która wisi nad światem.

Jest to więc — podkreślam — pierwszy krok, który powinien w ostatecznym rachunku doprowadzić do całkowitego i powszechnego rozbrojenia.

Szerokiej aprobacie porozumienia moskiewskiego towarzyszą jednak i inne głosy: powściągliwe i krytyczne. Wydaje się, że u ich podstaw leży właśnie obawa przed ewentualnymi dalszymi porozumieniami.

I tak na przykład dając wyraz myśli polityków bońskich „Berliner Morgenpost" pisał wręcz:

„MIEJMY NADZIEJĘ, ŻE NASTĘPNYM KROKIEM NIE BĘDZIE PAKT O NIEAGRESJI".

Również niektóre dzienniki francuskie wtórując wypowiedzi prez. de Gaulle'a ostrzegają przed dalszymi krokami, dokonywanymi ponad „głową Francji".

Takiego stanowiska zachodnioeuropejskich „usztywniaczy" polityki atlantyckiej należało oczekiwać. Znamy ich zbyt dobrze i nie mamy złudzeń!

Gorzej jednak, że niezrozumienie politycznej wartości układu moskiewskiego wykazują i inne kraje, wyznając zasadę: „wszystko lub nic". Nie godzą się one na drogę rozwiązań częściowych, zapominając, że przy obecnym stopniu komplikacji zagadnień międzynarodowych — jedynie ta jest realna. Tylko niepoprawni marzyciele mogą przypuszczać, że pewnego dnia powieje taki pomyślny wiatr, że wszystko, co dziś jest trudnym problemem, nagle rozwiąże się samo. Realiści patrzą na świat inaczej i nie mogą zaniedbać żadnej możliwości ugruntowania światowego pokoju.

Jakże bowiem z założonymi rękoma oczekiwać zwycięstwa socjalizmu na całym świecie, gdy ten ostatni dusi się w kleszczach wyścigu zbrojeń?

Jednym z najpoważniejszych niebezpieczeństw naszych czasów jest broń nuklearna. Przypomnijmy jeszcze raz — siła niszczycielska tej broni dawno już przekroczyła o ponad 12 milionów razy siłę wybuchu bomby atomowej, zrzuconej na Hiroszimę. Jedna tylko eksplozja nuklearna może mieć obecnie moc większą niż wszystkie środki bojowe, użyte w poprzednich wojnach, nie wyłączając II wojny światowej.

Tak więc zaklęta w różnego rodzaju pociskach siła może w ciągu kilku godzin zamienić świat w perzynę. Na porytym eksplozjami jądrowymi i porażonym zabójczymi pyłami globie ziemskim mogą pozostać jedynie strzępy ludzkości. Bomba atomowa bowiem nie wybiera — niesie zagładę nie tylko tym, którzy wojny pragnęli, ale przede wszystkim milionom ludzi pracy.

Taka jest, niestety, wizja poatomowego świata. Taka — być może — czekałaby nas przyszłość, gdyby o sprawach wojny i pokoju decydowali amatorzy wojennych fajerwerków. Na szczęście jest inaczej, na szczęście są siły, które krok po kroku wiążą ręce „wściekłym". Te siły mówią:

„NARODY CHCĄ ROZBROJENIA I WIERZĄ, ŻE WŁAŚNIE KOMUNIŚCI STANOWIĄ AWANGARDĘ WALKI NARODÓW O OSIĄGNIĘCIE TEGO CELU I SĄ JEJ ORGANIZATORAMI".

i dalej:

„NASZA WALKA O ROZBROJENIE NIE JEST CHWYTEM TAKTYCZNYM".

Te słowa listu KC KPZR do komunistów radzieckich potwierdza praktyka. To właśnie polityka Związku Radzieckiego doprowadziła do moskiewskiego spotkania, uwieńczonego pierwszym poważnym sukcesem na drodze do wyeliminowania groźby wojny nuklearnej.

Ci zaś, którzy poddają w wątpliwość znaczenie porozumienia w myśl zasady: „wszystko lub nic" można mieć poważne wątpliwości, czy zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa zawisłego nad światem.

* * *

Lato nadziei. Myślę, że tak właśnie oceniają przeżywane dni wszyscy, którzy gorąco pragną pokoju. Dla nas, Polaków, nadzieje te wiążą się z dalszym odprężeniem w stosunkach międzynarodowych i ugruntowaniem pokoju. Sądzimy, że uda się doprowadzić do całkowitego zaniechania prób nuklearnych, do zawarcia paktu o nieagresji i stworzenia strefy bezatomowej w Europie. Sądzimy, że coraz większego znaczenia w polityce nabierać będzie okrągły stół przykryty zielonym suknem...

WIESŁAW BEK

EKRANIK

▲ *Japoński krytyk filmowy Susumu Okada na łamach pisma „Motion Pictures Times" omawia film Kawalerowicza „Pociąg" pisząc m. in. „Poczułem się jednym z bezimiennych pasażerów przemierzających przestrzeń bezsenną nocą w pociągu historii... impresyjne tło muzyczne i pełna subtelności ekspresja zdjęć każdego niemal kadru symbolizują charakter polskiego filmu, który podejmując sprawy historii wskazuje na jej sens w formie przenośni artystycznej... „Pociąg" przesycony jest nastrojem życia przypominającym filmy francuskie z lat trzydziestych".*

▲ *Włoski producent Dino de Laurentis przygotowuje film o sprawie Sacco i Vanzettiego, robotników włoskiego pochodzenia skazanych przed wojną w Bostonie. Na marginesie realizacji wspomnianego filmu, organ oficjalny bostońskiej kurii biskupiej „The Pilot" w artykule wstępnym pt. „Not Again" („Nie wracać") wypowiada się bardzo ostro przeciwko „ponownemu odgrzebaniu spraw dawno zapomnianych, które mogły by pobudzić na nowo pasję bostońskiego społeczeństwa". Ten sam organ pisze dalej: „Historia brzydkich kapitalistów w Massachutssets i biednych imigrantów — rewolucjonistów może być tematem głębokiego dramatu, ale pozostanie nieuczciwością w stosunku do historii".*

▲ *Grupa młodych filmowców radzieckich z wytwórni filmowej im. Gorkiego, wśród nich reżyser Szukszin, znany odtwórca głównych ról w wyświetlanych u nas filmach „Bądź moim synem" i „Złoty ładunek", dokonała kilkumiesięcznego objazdu syberyjskich miast i wsi. W wyniku dokonanych obserwacji ma powstać film opowiadający o życiu i pracy mieszkańców Syberii.*

▲ *Znany reżyser radziecki J. Chejfic, autor filmu „Dama z pieskiem" realizuje obecnie w Leningradzie swój kolejny film zatytułowany „Wieczny ogień".*

▲ *W Belgradzie utworzono Instytut Filmowy, w którym kształcić się będą młode kadry kinematografii jugosłowiańskiej. Belgradzka szkoła filmowa posiada trzy wydziały: reżyserski, operatorski i aktorski.*

▲ *Dwaj wybitni pisarze francuscy, Aragon i Maurois, pracują nad scenariuszem filmu o rozwoju ekonomicznym Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych. Film zatytułowany „Historia równoległa" będzie realizowała wytwórnia „Press de la Cite".*

▲ *„Defa" przystąpiła wspólnie z kinematografią kubańską do realizacji filmu, którego akcja toczy się wokół imperialistycznych przygotowań do agresji na Kubę. Film zatytułowany „Preludium" reżyseruje Kurt Maetzig a grają Gunter Simon, Roberto Blanco i inni.*

▲ *W oparciu o głośną sprawę aresztowań redaktorów hamburskiego tygodnika „Der Spiegel", Karol Basedow napisał scenariusz filmowy, który w chwili obecnej nie znalazł jeszcze w NRF producenta.*

A. N.

Nowe filmy „Czołówki"

Powołana przed kilku laty Wytwórnia Filmowa Wojska Polskiego „Czołówka" realizuje coraz więcej filmów, które kierowane są do szerokiego rozpowszechniania w kinach. Są to przede wszystkim filmy krótkometrażowe. W najbliższym czasie do rozpowszechniania wejdą m. in. „ODRA" reż. Jerzego Vaulina — reportaż filmowy z manewrów wojskowych trzech zaprzyjaźnionych armii: ZSRR, Polski i NRD, które odbyły się jesienią ub. roku. Bardzo interesującym jest film zrealizowany przez Macieja Sieńskiego — „BROŃ PANCERNA" ukazujący w historycznym przekroju rozwój broni pancernej i rolę czołgów na atomowym polu walki.

Do innego gatunku filmowego zaliczyć należy film Henryka Rewkiewicza „TYLKO DLA DOWÓDCÓW". W formie groteski filmowej ukazano przejawy drylu występujące jeszcze u niektórych podoficerów. Filmem o wyraźnym charakterze dydaktycznym jest tego samego reżysera „ZIELONY DZIEŃ", dotyczący wychowania i kształcenia umiejętności organizacyjnych żołnierza spełniającego obowiązki dowódcy. W końcowej fazie realizacji znajdują się następujące filmy: reż. Roman Banach kończy monograficzny film o bitwie o Berlin „OPERACJA BERLIŃSKA". Impresje dokumentalną o Karolu Świerczewskim realizuje Wincenty Ronisz. Autorem komentarza do tego filmu jest znany pisarz Wojciech Żukrowski.

A. N.

AVA GARDNER

Rywalizacja nie jest wskazana

Telewizja, to magiczne okno na świat, jest już właściwie przedmiotem powszechnego użytku. Tak jak pasta do zębów albo jak mydło. — Oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego, że mocno przeszarżowałem stosując podobną analogię, obawiam się jednak, chyba nie bez racji, że więcej, znacznie statystycznych obywateli ogląda u nas telewizję niż myje zęby; faktem niemniej jest ogromna, przeszło pięciomilionowa publiczność telewizyjna, faktem jest również dawno przekroczony milionowy abonent — czyli inaczej: powszechne, coraz bardziej masowe korzystanie z telewizji, a tym samym — masowe korzystanie z wielorakich wartości kulturalnych, jakie telewizja podaje swoim odbiorcom. Z powodu tej masowej widowni telewizyjnej mówi się często, powtarza jak memento, że telewizja wyrasta na konkurentkę niebywale silną dla teatru; i nie tylko dla teatru czy filmu, gdyż jeszcze dla estrady i innych imprez kulturalno-masowych. Dodaje się czasem ponadto, że telewizja stanowi konkurencję także i dla radia. Prawda, to tylko po części słuszna. Na pewno każdy woli sobie kupić przede wszystkim telewizor; daje mu pierwszeństwo przed radiem; nie znaczy to jednak, że w ogóle eliminuje radio. Owszem, w ciągu ostatnich lat spadła liczba zakupywanych radioodbiorników, podczas gdy sukcesywny wzrost teleabonentów przewiduje się już do roku 1980; myślę jednak, że wypracowane przez radio wartości, przyjęte wśród odbiorców, w niczym nie straciły na sile, ludzie dalej słuchają równie chętnie radia, jak przed laty, gdy telewizja jeszcze nikomu nie zagrażała.

Ale telewizja zagraża — teatrom i filmom. Wiedzą o tym i teatry, wie o tym i Centrala Wynajmu Filmów; obowiązuje zresztą specjalna klauzula przy zakupie filmów fabularnych dla telewizji. Proszę zwrócić uwagę, że oglądamy w telewizji wyłącznie filmy, które odbyły już przepisową wędrówkę po ekranach normalnych kin. Bo chociaż u nas nie istnieje rywalizacja w sensie komercyjnym, to jednak telewizja mimo woli kopie dołki pod teatrem i pod filmem.

Na Zachodzie większość wytwórni filmowych broni się przed telewizyjną konkurencją w ten sposób, że nie sprzedaje swoich filmów telewizji. Z kolei telewizje zachodnie posiadają własne wytwórnie filmowe, produkujące filmy wyłącznie do telewizyjnego użytkowania.

My nie dysponujemy jeszcze oddzielną wytwórnią filmów telewizyjnych. Pewne próby w kierunku stworzenia filmu telewizyjnego czyni Semafor, jednak jego filmy nie są filmami telewizyjnymi w pełnym tego słowa znaczeniu. Film dla telewizji — albo inaczej: telewizyjny — posiada, poza innymi, istotnymi różnicami, charakterystyczną budowę: składa się z wielu odcinków, z których każdy stanowi dramaturgicznie zamkniętą całość. Mimo pozorów, realizacja filmu telewizyjnego wcale nie należy do łatwych. Musi być szczególnie dobry, umiejętny scenariusz, rozkładający treść filmu na poszczególne odcinki, musi być odpowiednia reżyseria, klimat, konstrukcja realizatorska. Film telewizyjny może być — tak jak normalny, fabularny — filmem sensacyjno-kryminalnym (najpopularniejszy gatunek filmu telewizyjnego na Zachodzie), lub obyczajowym, komedią albo melodramatem, wszystko co kto chce i co sobie zamarzy, byleby został spełniony warunek dramaturgii telewizyjnej. Tymczasem, nasze filmy pseudotelewizyjne to po prostu zwykłe krótkometrażówki, wchodzące w paradę (lub inaczej: czyniące konkurencję) dokumentowi czy oświatówce. Inna sprawa, że te filmy są często robione o wiele gorzej niż w dokumencie czy oświatówce. Ale, warto tu chyba poważnie się zastanowić nad zmianą polityki w koncepcji filmów telewizyjnych — po pierwsze dlatego, że te, które się nam pokazuje, są filmami telewizyjnymi jedynie z nazwy, po drugie dlatego, że zbytecznie dublują tematy oświatówki i dokumentu, po trzecie — że istnieje wyraźne zapotrzebowanie na gatunek filmu telewizyjnego, po czwarte — że można uzyskać z niego duże korzyści materialne. Dlaczego bowiem nasza telewizja, która tyle milionów kosztowała państwo, nie zarabia dewiz, tak jak zarabia je polski film fabularny? Dlaczego mamy wyłącznie kupować filmy telewizyjne — często o nienajlepszej jakości i treści — zamiast produkować własne?

Dzięki masowemu odbiorcy przyjął się już trwale termin „telewizyjny": film, teatr, publicystyka. Termin jednak często nieadekwatny do rzeczywistości. Teatr Telewizyjny — ten właśnie teatr, który robi konkurencję normalnemu teatrowi (proszę zwrócić uwagę, jak teraz rzadko przeprowadza się bezpośrednią transmisję ze sztuk; jeżeli tak się dzieje, to wtedy, gdy sztuka schodzi z afisza, lub gdy jest poślednieszego gatunku), ten masowy, o wielomilionowej widowni, największy w Polsce teatr, mało kiedy bywa teatrem w pełni telewizyjnym. Przeważa w nim tradycyjna oprawa, tradycyjne wystawienie. Cała różnica pomiędzy normalnym a telewizyjnym teatrem sprowadza się do tego, że spektakl w telewizji przebiega bez przerw. A przecież każda sztuka wystawiana w telewizji posiada formalnie tak zwaną adaptację, która ma na celu przystosowanie jej do warunków telewizyjnych. Tymczasem, Teatr Poniedziałkowy, Teatr Popularny, wreszcie eksperymentalny; „Studio 63" posiadają niewiele spektakli, pod którymi można z całą odpowiedzialnością podpisać: telewizyjne. Nie znaczy to, że Teatry Telewizyjne są złymi teatrami; rozumiem przez to, że telewizja nie potrafi jeszcze znaleźć swego języka, swojej formy, swojej metody wystawiania sztuk. Sprawa o tyle trudniejsza, że wymagamy od telewizji niepowtarzania szablonów; wymagamy oryginalności, do czego zresztą mamy prawo. Telewizja nie powinna być konkurencją dla teatru, ponieważ teatr normalny i teatr telewizyjny są odrębnymi rodzajami artystycznymi, które powinny wzajemnie się wykluczać, a w każdym razie sobie nie przeszkadzać. Chociaż telewizja nie wystawia sztuk, aktualnie granych w teatrach, frekwencja na przedstawieniach systematycznie się obniża. Sztuka w teatrze ma teraz o wiele krótszy żywot, niż to się działo w epoce przedtelewizyjnej. A co będzie za lat kilkanaście, gdy — na przykład, co trzeci obywatel stanie się właścicielem telewizora?

I w tym miejscu znowu wracam do punktu wyjścia. Telewizja powinna posiadać swój własny film, powinna też posiadać swój własny teatr. Od czego to zależy — następnym razem. Serdecznie zapraszam wszystkich zainteresowanych do dyskusji. Co sądzą o teatrze telewizyjnym, jak go oceniają, jak go widzą. Czekający na listy

KOWALSKI

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

OGLĄDAMY NA EKRANACH

W dalszym ciągu w kinach panuje repertuar „bez wybitnych pozycji", o których mogłyby się toczyć dyskusje i spory. Nie znaczy to jednak, że w bieżącym repertuarze filmowym nie można zobaczyć nic interesującego. Przewaga filmów o charakterze rozrywkowym, sensacyjnym — filmów w swej ogólnej masie raczej przeciętnych, została umotywowana okresem urlopowym, letnią kanikułą, spadkiem frekwencji, a co za tym idzie odpowiednią polityką repertuarową CWF. W tej sytuacji polecamy obejrzenie angielskiego dramatu wojennego „BYŁEM MONTGOMERYM" w reżyserii Johna Guillermina. Wielu czytelników zna historię bluffu drugiej wojny światowej — zastąpienia generała Montgomery'ego aktorem Cliftonem Jamesem dla zmylenia czujności wywiadu hitlerowskiego w okresie przygotowań inwazji alianckiej w Normandii. Bohater tego bluffu napisał o tym książkę, którą Anglicy adaptowali na scenariusz filmowy W rezultacie powstał ciekawy, w miarę sensacyjny i zarazem zabawny film, sprawnie reżyserowany, a przede wszystkim ciekawie grany przez Cliftona Jamesa, odtwórcę dwóch ról — Montgomery'ego i... siebie samego. Tak więc film reż. Guillermina zawiera oprócz niewątpliwych wartości komediowych sporo autentyzmu, jest próbą rekonstrukcji prawie że historycznego epizodu II wojny światowej.

Do innego gatunku filmowego zaliczyć należy adaptację powieści Lawrence'a „SYNOWIE I KOCHANKOWIE", którą zrealizował Jack Cardiff. Adaptatorzy epickiej powieści ukazującej na przestrzeni 5 lat dzieje rodziny górniczej w Anglii mieli na pewno ogromne trudności, ale poszli też chyba w procesie adaptacji po najmniejszej linii oporu. Stworzyli dramat obyczajowy, bez mała nawet melodramat w ujemnym tego słowa znaczeniu. Warstwa melodramatyczna, wątek erotyczny powieści związany przede wszystkim z postacią Paula, został zbyt wypunktowany kosztem spłycenia bogatego tła obyczajowego i społecznego lat dwudziestych. Cardiff jest chyba jeszcze mało doświadczonym reżyserem filmowym aby mógł podołać zadaniu adaptacji utworu tak wielowątkowego jak powieść Lawrence'a. Do wiódł tego nieudaną, ckliwą adaptacją powieści Cronina „Syn skazańca" wyświetlaną nie tak dawno w naszych kinach. Świetne umiejętności operatorskie, jakią posiada Cardiff, autor zdjęć do filmów takich jak „Wojna i pokój", „Afrykańska królowa", „Bosonoga contessa" czy „Czarny narcyz" (nagroda Oscara w 1947 roku za zdjęcia barwne w tym filmie), jak widać jeszcze w tej chwili nie wystarczają do podejmowania się trudnej roli adaptatora i reżysera.

Znany u nas reżyser niemiecki Kurt Maetzig autor m. in. „Rady bogów" i „Milczącej gwiazdy" w swojej twórczości filmowej podejmuje od szeregu lat, z większym lub mniejszym powodzeniem, tematy bardzo aktualne i społecznie ważne.

Do nich należy szeroki temat, ciągle jeszcze aktualny mimo pewnych symptomów likwidacji tzw., wojna nerwów albo zimna wojna. Maetzig adaptował powieść Schreyera „LOT KAPITANA LOYA" o losie pewnego sabotażu amerykańskiego z zabranymi na pokład przypadkowymi pasażerami, który wykonują bez ich wiedzy niebezpieczne zadanie szpiegowskie u wybrzeży bałtyckich Związku Radzieckiego. Akcję filmu reżyser poprowadził dość sprawnie i ciekawie. Tym większa jego zasługa, że umiejscowił ją tylko w większości w kabinach samolotu. Film jest interesujący dzięki dość sprawnej rekonstrukcji jednego z autentycznych wypadków w ogniwie powszechnie znanych prowokacji naruszania obszaru powietrznego ZSRR. Oczywiście Maetzig nie ustrzegł się w swojej adaptacji pewnych potknięć dramaturgicznych (zbyt długie sceny w ekspozycji filmu, przeładowanie schematycznymi dialogami). Do takiego wrażenia dłużyzn przyczynia się w znacznym stopniu fatalnie zła kopia dźwiękowa polskiego dubbingu w znacznej części filmu mało zrozumiała. Wśród aktorów warto wymienić dwie kobiety: uroczą Czeszkę Janę Brejchową, i Christine Leszar, którą niedługo ujrzymy w polskim filmie Bogdana Poręby „Daleka jest droga". Będąc już przy filmie polskim warto zasygnalizować premierę nowego polskiego kryminału „OSTATNI KURS" w reżyserii Batorego z Rylską i Glińskim na czele obsady aktorskiej. „Ostatniemu kursowi" poświęcimy jak wszystkim polskim filmom, osobną recenzję.

WIELKI SZEWC

Dokończenie ze str. 1

bryki także w Anglii, Francji, Niemczech. Tam było mu dobrze, gdzie świeciły ruloniki. Jego czujny wzrok spoczął też na Chełmku. Bata wytargował u Sapiehy ileś tam hektarów ziemi, puścił w ruch fabryczkę obuwia.

Chełmek nie został wtedy Zlinem, wobec czeskiego olbrzyma był grajdołkiem, muchą przy słoniu. Czesi bili nas wówczas na głowę pod wieloma względami. W Europie przebąkiwano o zmyśle, ba o geniuszu gospodarczym Czechów. Kryształy, piwo, buty — któż mógł się równać z potomkami Husa, którym już w średniowieczu zaszczepiono kult porządnej roboty. Bata, ten ruchliwy, inteligentny fabrykant rozrzucił po Zlinie kolonie szklanych wytwórni i szklanych domów. Pozował na Forda. Był egocentrykiem, który stroił się w szaty reformatora. Chełpił się — „sprawię, że każdy Murzyn będzie chodził w butach". O dziwo, stał się prorokiem we własnym kraju. Obuł Słowaków i skłonił Czechów do nabywania w jego niezliczonych sklepach po 4 pary obuwia rocznie. Amerykanie fasowali w latach trzydziestych „tylko" 3 pary rocznie, a my, Polacy? Kudy nam do Czechów, co drugi rok kupowaliśmy jedną parę butów.

To był przebiegły gość, ten Bata. Jeszcze przed Goebbelsem odkrył, że propaganda polega na stałym powtarzaniu ciągle tych samych sloganów. Rozwiesił tedy na fabrycznych ścianach hasła, które nigdy nie ulegały zmianie:

— *Jesteśmy jedną rodziną, mamy wspólny cel.*
— *Praca to konieczność moralna.*
— *Uczmy się języków.*
— *Pamiętaj, że dzień składa się z 86.400 sekund...*

Oj te sekundy, zatrzymajcie swój bieg. Bata dążył do tego, by w każdej sekundzie zeszła z taśmy w Zlinie jedna para butów. Stał bliżej tego celu niż dalej. W 1926 roku produkował 55 tysięcy par obuwia dziennie. Cały Zlin, który liczył wówczas 1.000 prywatnych samochodów, był stalowym mechanizmem do wyrobu obuwia. Dawny Chełmek to więc kopciuszek przy Zlinie. Polska była zresztą wtedy rzeczpospolitą szewską, miała 50 tysięcy szewców, którzy jak Pan przykazał, zbijali w pocie i trudzie buty mocne, nie do zdarcia. Te buty miały wadę. Były drogie. Korci, aby przytoczyć za GUS-em z 1929 roku ceny obuwia na krajowym rynku. Za parę obuwia „szpilkowanego" trzeba było wyłożyć 31 złotych, „durchniowanego" 22 złote, „pasowego" 31 złotych. Cena damskich lakierek wahała się od 30 do 40 złotych.

Był taki czas, kiedy chłopi nogi darli, a buty na kijku nosili.

I nagle na ten skostniały rynek wdarł się Bata ze swym Chełmkiem. Rzucił do sklepów, których miał krocie, obuwie tanie, choć może tandetne, po części płócienne na skórzanych spodach. Zacnych majstrów, którzy przywykli do pociągla między nogami, ogarnęła szewska pasja. Ich krzyk protestu walił do drzwi ministerstw, wlatywał oknem do samego Belwederu. Wolność Tomku w swoim domku. Bata ulepił swój domek na polskiej ziemi. Spryciarz. Wyminął bariery celne, zadrwił z ograniczeń przywozowych.

Dramat polskich szewców? Nie przesadzajmy. W Polsce między wojnami fabrykowano mechanicznie zaledwie 10 procent obuwia, w Europie zachodniej 88 procent. Świat poszedł naprzód,

Fot. E. Kudaj

my zostaliśmy na zydelkach z szydłem i knypem w ręku. A co z eksportem? To historia, dawne dzieje. Niemożliwe, przecież jak dalecko pamięć sięga, zawsze słynęliśmy ze znakomitego obuwia. Bzdura. Narodowa legenda. Jeden z mitów stworzony ku pokrzepieniu serc. Prawda, biegły w rzemiośle majster Leszczyński udał się z Warszawy na wystawę światową do Nowego Jorku. Zabrał ze sobą polskie oficerki. Te oficerki udekorowano medalem, majstra zaszczycono zamówieniem. Jakiś klub jeździecko-myśliwski bodajże z Virginii uwziął się, żeby w polskich oficerkach polować na króliki, może kuropatwy, czy ja wiem. Kilkadziesiąt par oficerek — oto i cały nasz eksport międzywojenny. Śmiechu warte.

A co z Chełmkiem, rozrósł się, przytył przez te lata?

Chełmek, Nowy Targ, Radom to dziś giganty w skali międzynarodowej. Nie mniejsze od Baty w Gottwaldowie i „Bally'ego" w Szwajcarii. Chełmek i Nowy Targ rzucają po kilkadziesiąt tysięcy par obuwia dziennie. Te kolosy uszyły szewcom buty już na amen. A jednak dopiero w 1960 roku, uznano, że naród jest obuty i można podnieść szlaban na zielonej drodze eksportu. Te szlabany długo były opuszczone, tak kazała racja stanu. Kto wie czy gospodarczy awans chłopa z mazowieckich piachów nie zaczął się w momencie, gdy jego dzieci poszły w trzewikach do szkoły.

Więc 3 lata temu pan „Skórimpex" z Łodzi rozwinął żagle i ruszył w szeroki świat po dolarowe runo.

Wejście na obce rynki. Definicja krótka, operacja dramatyczna. Zagraniczne rynki. Trzeba sił cyklopa, by zachwiać obecność na tych rynkach starych firm z Holandii, Szwajcarii, które zęby zjadły na handlu obuwiem. Konkurenci świeższej daty z Włoch, Izraela są znów pełni inwencji, kupieckiego sprytu. Gdzie spojrzeć chmara konkurentów, mistrzami wśród nich są Włosi. Bo współczesnym Zlinem jest Vicivano w Lombardii. To miasteczko nadaje ton, dyktuje modę, projektuje obuwie. „Skórimpex" też odwiedza Vicivano, szeleści banknotami przed nosem żywych jak iskra plastyków. Co ma robić, wlazł między kruki, musi krakać jak i one. Nie kupisz modelu „Italiana style" na kolejny sezon, to lepiej zamykaj kram póki czas, bo cię zlicytują wierzyciele.

Włosi. Po wiekach jakby letargu na nowo zaprzęgli do dzieła swą duszę urodzonych artystów. Kiedyś oddawali się możnym tego świata, kując dla nich grobowce w marmurze, uświetniając swym kunsztem kościoły, kaplice. Nigdy im nie brakło owej iskry bożej. Teraz odwrócili wzrok od spraw ostatecznych ku ziemskim, obracając swe zadziwiające talenty ku bardziej praktycznym celom. Narzucili modę w konfekcji, obuwiu, linii samochodów. Naród kataryniarzy? „Italiańcy" chadzali niegdyś po Europie z katarynką dla zarobku. Ale wtedy żył jeszcze Marks, a Garibaldi gotował się w Sardynii do wyprawy na Neapol.

Lombardczycy wyeksportują w tym roku 30 milionów par obuwia, za każdą wpadnie im jakieś 3 dolary.

Madonna, jakże trudno konkurować z Włochami, jak szalenie trudno. Eksport obuwia to długi sznur pełen włoskich węzłów do rozsupłania. Kupiec zamówił w Łodzi 100 tysięcy par półbutów męskich. Co dalej? Istna karuzela. Halo, należy przestawić produkcję. Dyrektor fabryki blednie, główny inżynier interweniuje. Rany boskie, przecież runie cały plan i premia uleci z dyrektorskiego gabinetu w siną dal. Męskie półbuty. Więc należy je wyprodukować w 12 numerach, półnumerach i w 5 „tęgościach". Bejrut to nie „Gallux" na Piotrkowskiej. Do „Galluxu" wstawia się „luksusowe" obuwie w 2 tęgościach i jest po krzyku. Świadomi obywatele „rozchodzą" trzewiki, kupują plastry na odciski, interes kwitnie. Co innego Bejrut, tam obowiązują światowe normy. Tabliczka mnożenia, 12 numerów przez 5 „tęgości" to już 60 wariantów jednego tylko modelu. Dochodzi jeszcze 5 odcieni. Chciałeś tego, więc masz, skromne nawet zamówienie urasta do problemu 300 różnych kopyt, w ogóle niebotycznej kwestii tak zwanego oprzyrządowania.

Eksport zahacza o kwestie jeszcze poważniejsze.

Dotyka importu skór, garbników, kooperacji z innymi fabrykami. Często w rejsie do kraju, gdzie dolary dojrzewają, przeszkodą nie do wzięcia jest ładne pudełko, dobre sznurowadło, solidne „sztyfty". Na domiar złego pan „Skórimpex" cały rok chodzi w sztywnym gorsecie, któremu na imię plan. Musi już teraz, w lipcu, wiedzieć co i gdzie będzie wysyłał w grudniu roku przyszłego. Gdybyż ten gorset nieco rozluźnić. Odetchnąłby „Skórimpex", zaczerpnął powietrza, rozprostował ramiona i przygarnął kupców, których dziś odrzuca. Ileż to razy nie przyjmuje błyszczących dewizami ofert, bo wymagają błyskawicznej decyzji. Szybki refleks, kuj żelazo póki gorące — oto tajemnice obrotnych handlowców. Jeśli zwlekasz, kluczysz, ociągasz się z odpowiedzią, kupiec mówi „do widzenia" — i tyle go widzisz. Jedzie do Holandii, gdzie umieją w jednej chwili, nie szczędząc uśmiechów i pokłonów do ziemi, przystosować się do żądań odbiorcy. To diabelnie przykra sytuacja mieć okonia na haczyku, a potem same mu odciąć linkę nożem. „Skórimpex" nieraz był w takiej sytuacji.

Kłopoty, kłopoty, jest ich cały sznur, ale „Skórimpex" jakoś sobie radzi. Płynie, płynie, zakotwiczył swe wyroby w portach 3 kontynentów.

Jeszcze kilka lat temu wywóz artykułów z gumy, futer, walizek, pokrywał tylko w 5 procentach import skór, roślinnych garbników i gotowego obuwia. W tym roku eksport pokryje już w 95 procentach koszty tego importu. Eksportowa szala mogłaby już nawet przeważyć, gdyby nie tuczniki Centrali Mięsnej. Tak się składa, że świńska skóra i obuwie z tej skóry robią w świecie karierę. Za skórę jednego wieprzka można otrzymać półtora dolara. Polska to potentat w handlu świńskimi skórami, nie mamy sobie równych. Skóry z sieradzkich tuczników są najlepsze w świecie, także najdroższe. Importerzy płacą wszakże bez zmrużenia oka i proszą o więcej. Stoją w kolejce przed „Skórimpexem", który wyśle w tym roku 10 tysięcy ton skór za granicę, choć mógłby wysłać dwa razy tyle, gdyby te skóry miał.

Nie da rady, umarł w butach. Centrala Mięsna nie chce zdejmować skór z tuczników.

Nie chce dlatego, że to dla niej żadne kokosy. Bo szynka nie szynka, wszystko idzie do sklepów ze skórą. Gospodynie płacą za skórę jak za bekon, boczek, słoninę. Czego trzeba więcej, Centrala wie co robi, drze do trzeciej skóry. Wyłania się ciekawy problem. Co jest korzystniejsze z punktu widzenia społecznego, drenowanie narodu świńską skórą, czy drenowanie nią tęgich importerów? Szkopuł, prawda? Eksport, no cóż, nie urósł on jeszcze u nas do słowa — symbolu, wymawianego w Japonii z modlitewnym nabożeństwem, ani do pełnego dumy okrzyku Anglików — „We live on our brains" — żyjemy z naszych mózgów...

Zostawmy, po co zaraz wychodzić ze skóry o ileś tam milionów dolarów rocznie. Najważniejsze, że to w Łodzi zamieszkał Wielki Szewc, równy już wzrostem Tomaszowi Bacie. I że ten szewc założył siedmiomilowe buty. Szczęśliwej drogi.

JAN BĄBIŃSKI

„Sprzedawcy" gazet... ludzie „Ruchu"...

Dalszy ciąg ze str. 2

oprócz prasy i książek — można otrzymać zarówno mydło toaletowe, wodę kolońską, pastę do zębów, grzebienie, lusterka itp., jak i zabawki dla dzieci, smoczki dla niemowląków, papierosy, karty do gry, kupony „Toto-lotka", żyletki, płaszcze od deszczu, znaczki pocztowe, szpilkę i wiele innych jeszcze artykułów tzw. „pozaprasowych", których nie sposób tu wymienić.

Tak więc PUPiK „Ruch" z jednej strony musi być dobrym kupcem z „głową na karku" jak to się popularnie mówi, z drugiej zaś, nie wolno mu zapominać o tym, że jest powołany do krzewienia kultury, do propagowania prasy i książek, jak zresztą sama nazwa na to wskazuje: **Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki.** Głównym celem PUPiK „Ruch" jest zaspokajanie potrzeb społeczeństwa przede wszystkim na odcinku prasy i książek. Na poparcie tych słów niech przyjdą mi z pomocą liczby. Otóż PUPiK „Ruch" rozprowadza rocznie około 150 milionów gazet i czasopism (mowa oczywiście o Łodzi i województwie łódzkim). Na uwagę zasługuje tu fakt, że w latach 1960 — 1962 wzrosła znacznie sprzedaż prasy partyjnej, osiągając liczbę ponad 35 milionów egz. W r. b. daje się zauważyć dalszy wzrost sprzedaży prasy partyjnej, w tym również „Głosu Robotniczego", którego poczytność z miesiąca na miesiąc wzrasta. Na przestrzeni ostatnich lat obserwuje się także że większe zainteresowanie społeczeństwa prasą radziecką, bowiem cyfra sprzedaży egzemplarzy prasy radzieckiej wzrosła prawie o 100 proc. Dalej, PUPiK „Ruch" jest poważnym kolporterem książek, przeważnie książek dla dzieci. Poza tym w sprzedaży znajdują się książki typu popularnonaukowego, sensacyjnego, broszury społeczno-polityczne oraz wiele innych pozycji wartościowych z literatury pięknej, klasycznej. W samym tylko roku 1962 „Ruch" sprzedał książek za osiem milionów złotych, tj. ponad 600.000 egz.

Warto podkreślić, że liczba rozprowadzanych przez „Ruch" książek z roku na rok wzrasta, niestety ze względu na brak miejsca w kioskach nie wprowadza się do sprzedaży pełnego ich asortymentu. Próbując wyprzeć wszelką szmirę w pocztówkach wprowadzono do sprzedaży również pocztówki, ale nieco inne, o tematyce krajoznawczej, okolicznościowe oraz popularyzujące współczesną grafikę i wszystko to, co tworzy nasz świat artystyczny. Trzeba bowiem wiedzieć, że z Biurem Wydawniczym „Ruch" w Warszawie współpracuje około 200 autorów i grafików. W trosce o to, aby społeczeństwo nasze mogło nabyć ładne i stosunkowo niedrogie obrazy, „Ruch" zamierza przystąpić w najbliższym czasie do reprodukcji dzieł sztuki z zakresu malarstwa polskiego i obcego. Być może, że jeszcze w końcu b. r. otwarty zostanie Salon Wydawniczy przy ulicy Piotrkowskiej 120.

Realizując natomiast swoje zaszczytne zadania na bieżąco, „Ruch" przystąpił ostatnio do otwierania Klubów Prasy i Książki na terenie wsi. Pierwszy taki Klub otrzymały Dąbrowice w powiecie kutnowskim, drugi zaś zlokalizowany został w Trębaczewie w powiecie pajęczańskim. Do końca tego roku „Ruch" planuje — i trzeba przyznać że planuje bardzo optymistycznie — uruchomić jeszcze 9 podobnych placówek. Niepodobna przy tym pominąć faktu, że każde otwarcie nowego Klubu Prasy i Książki staje się zarazem wielką imprezą kulturalną. Przyjeżdżają bowiem wówczas nie tylko autorzy wystawianych książek, ale i całe zespoły aktorskie z bogatym programem artystycznym. Jeżeli już mowa o tego rodzaju wydarzeniach kulturalnych, którymi tak szczyci się PUPiK „Ruch" — i słusznie — trudno nie wspomnieć chociażby Wielkiego Kiermaszu Książki, zorganizowanego przez „Ruch" w maju br. w parku na Zdrowiu. Przewinęło się wówczas — przez kiermasz i imprezę około 80.000 ludzi.

Takich to i temu podobnych osiągnięć w pracy ma PUPiK „Ruch" na swoim koncie

znacznie więcej. Szereg dyplomów i wyróżnień, jakie „Ruch" otrzymał w nagrodę za dobrą pracę oraz zadbanie w maju br. sztandaru przechodniego za uzyskanie I miejsca we współzawodnictwie między wszystkimi przedsiębiorstwami „Ruchu" na terenie kraju, mówią same za siebie. Przedsiębiorstwo stale się rozrasta. Stale szuka nowych dróg w swojej działalności, mających na celu inicjowanie i wprowadzanie coraz to innych, ciekawszych form pracy. Dziś nie sposób już porównać teraźniejszych PUPiK „Ruch" z przedsiębiorstwem z okresu minionych lat, kiedy to w roku 1950 pracowano jeszcze w bardzo trudnych warunkach. Kiedy brak było pomieszczeń na biura, na magazyny itp., kiedy materiały — z braku odpowiedniego zaplecza — walały się niejednokrotnie po podwórkach. Z biegiem czasu jednak pokonywano trudności. Z roku na rok prawie powstawały nowe obiekty. Rosły nowe kioski, jak grzyby po deszczu. I dziś, mimo, iż nie wszyscy jeszcze mogą pracować w normalnych i dobrych warunkach, stale następują zmiany idące ku lepszemu: Piękne gmachy otrzymały ostatnio Oddziały Rejonowe w Piotrkowie, Kutnie i Łodzi (Łódź Północ, Łódź Południe). Jak wszystko pójdzie dobrze oddany zostanie również do użytku — może jeszcze w tym roku — wielki biurowiec przy ulicy M. Kopernika 53. Rozładuje on między innymi trudną sytuację lokalową Oddziału Śródmieście. W parze z nowymi instytucjami rosła także suma obrotów. Podczas gdy w roku 1956 wyrażała się ona 495 milionami złotych, to w roku 1962 nastąpił szalony skok naprzód, bowiem obrót wzrósł do 1 miliarda i 60 milionów złotych.

PUPiK „Ruch" staje się prawdziwym kolosem. „Fabryką" bez niebosiężnego wprawdzie komina buchającego czarnymi kłębami dymu i sadzy, ale zatrudniającą — biorąc pod uwagę również sprzedawców z terenu Łodzi województwa — ponad 2.600 osób. I to tym trudniejszą „fabryką" do prowadzenia, że nie zlokalizowaną w jednym miejscu, a „rozsianą" po całym województwie.

ALEKSANDRA OCHALSKA

Dalszy ciąg ze str. 1

dian, którzy przez ponad 100 dni oblegali La Paz, zostawiając na placach boju 80 000 zabitych towarzyszy walki. Bunty indiańskie krwawo stłumiono, lecz Tupac Amaru II pozostał w pamięci zniewolonych chłopów bohaterem zbrojnej walki wyzwoleńczej. Czy miał się narodzić po raz drugi, by doprowadzić do końca zaczęte dzieło wyzwolenia?

Nie było go w burżuazyjnej rewolucji, która na początku XIX wieku uwolniła Amerykę od zwierzchnictwa Hiszpanii. Indianie byli jej niemymi świadkami. Niezależność narodowa niewiele zmieniła w ich losie, była niezależnością Kreoli. W przemyśle i kopalniach związał ich nowoczesny system kapitalistyczny, na wsi do dzisiaj koleje ich losu wyznacza struktura półfeudalna.

50 RODZIN I MONOPOLE

Prado, Lavalle, Wisen, Pardo — to cztery zaledwie z 50 rodzin rządzących krajem. Rodzina Prado zasługuje na szczególną uwagę ze względu na Manuela Prado, pozbawionego w zeszłym roku fotela prezydenckiego przez juntę skrajnie prawicowych generałów. Fortuna Pradów datuje się od roku 1879. Ówczesny prezydent Castilla, w związku z dużymi brakami w uzbrojeniu armii i wojną z Chile, zwrócił się do właścicieli latyfundiów, kupców i bankierów o wyasygnowanie sum na zakup broni w USA lub w Europie. Misją tą obarczono Mariano Ignacio Prado, który podjął zebraną sumę i... zdefraudował. Dzisiaj do Pradów należy Banco Popular, największy bank Peru oraz kontrola importu samochodów Studebaker, a wraz z trzema innymi rodzinami kontrola importu w ogóle, plantacji bawełny, kompanii eksploatującej lasy, a poza tym dochody z hoteli i kopalni należących do Amerykanów. Wpływy ich są dalekosiężne: Manuel Prado uzyskał od papieża Piusa XII unieważnienie małżeństwa, trwającego 20 lat. Rządził krajem dwukrotnie, w latach 1939–1945 i 1956–1962, w międzyczasie uczestnicząc w znanych orgiach urządzanych na Lazurowym Wybrzeżu przez jego brata bankiera.

50 rodzin kontroluje życie polityczno - gospodarcze Peru do spółki z kapitałem amerykańskim, w rękach którego znajdują się podstawowe działy gospodarki, w tym przemysł. 70 proc. wydobywanej nafty przypada na Texas Oil i Standard Oil of New Jersey, resztę na kompanie angielskie. Monopole amerykańskie i angielskie kontrolują także elektrownie, telefony, młyny, tartaki, jedyną fabrykę gumy. W obcych rękach jest całe prawie górnictwo. Kopalnie złota, srebra, miedzi, ołowiu, wanadu, bizmutu, cyny, cynku, podzieliły między siebie spółki amerykańskie Cerro de Pazco Corporation, Marcona Mining Co., Toquepala Mines, Utah Pacific, Northern i Southern Peru Mines, konsorcja francuskie i angielskie, niewielka zaś reszta przypadła miejscowym kapitalistom.

AGONIA

Wyrwać się z obłąkańczej niewoli panującej na wsi jest marzeniem wielu chłopów peruwiańskich. Czekają na nich kopalnie: praca w nich daje tę jedyną w swoim rodzaju satysfakcję, jaką jest stały zarobek, bardzo zresztą niewielki, ok. 75 centów dziennie. Wolnonajemna praca nie jest jednak wyzwoleniem, górnik popada w tryby nowej niewoli eksploatującej go aż do ostatecznego wyniszczenia organizmu. Zjeżdża na duże głębokości, gdzie brak jest tlenu, gdzie opada z sił i nie jest w stanie zrobić kroku. Kapitalizm w Peru znalazł na to lekarstwo. Przy wlazie do szybu amerykański dozorca albo jego kreolski pomocnik rozdziela liście koka. Żute podczas pracy, dzięki zawartym w nich toksynom, podniecają robotnika do działania, dodając mu sił. Potem zaś przychodzi wyczerpanie jeszcze straszliwsze i apatia. Wychodzą z szybów „pokryci od stóp do głów jasnoszarym kurzem, wygląd robotników jest makabryczny: kości policzkowe sterczące, spojrzenie zmętniałe, zielona otoczka (resztki koka „chacchada") wokół ust, chód powolny, plecy zgarbione, wrażenie owych tysiąc letnich mumii, które prezentują nam filmy hollywoodzkie. Widowisko dantejskie"! Górnik „ma płuca rozdęte wskutek ciężkiej pracy... Tylko czeka, żeby odpracować swoje 35 lat i móc wrócić do wioski, gdzie dumać będzie o swoim nieszczęściu i czekać śmierci". Tak przed paru miesiącami Juan Aguilar Derpich opisał los proletariatu peruwiańskiego na łamach kubańskiego tygodnika wojskowego „Verde Olivo".

Kopalnie Peru, hańba świata zachodniego... Jedyna alternatywa dla Indianina z Andów. Lecz przecież przedkłada ją często nad nędzę na wsi, gdzie 80 procent chłopów nie posiada skrawka ziemi, lecz dzierżawi małe działki w zamian za półniewolniczą pracę u właściciela latyfundium, tak zwanego „gamonala". Ucieka od piekła. Oddajmy znów głos Aguilarowi, naocznemu świadkowi tragedii mas chłopskich Peru. „Kobieta musi pracować: strzeże stada, obsiewa pola, zbiera plony, przędzie itd., a poród zaskakuje ją gdziekolwiek. Często bóle zaczynają się daleko od domu; wtedy kładzie się na skraju drogi i rodzi. Dwoma kamieniami przecina pępowinę, owija noworodka w gałgany, zarzuca sobie na plecy i idzie dalej. Nie ma szpitali, nie ma opieki doświadczonych rąk, nie ma badania lekarskiego dla nowonarodzonego dziecka (2 tysiące lekarzy na 13 milionów ludności — przyp. Z. K.), nie ma żadnych uroczystości z racji jego przyjścia na świat. Nie ma miłego słowa, które pozwoliłoby kobiecie być dumną z macierzyństwa. Dziecko zna mleko tylko z piersi matki, wkrótce potem ojciec daje dziecku kakao albo herbatę, uczy jeść dziecko quinua, papa, olluco i inne pożywienie dorosłych. Dziecko nie zna zabawy, nigdy nie nosi butów. Potem pomaga w domu, zbiera drzewo, pracuje podczas żniw, strzeże owiec. Kiedy osiąga pełnoletność, zabierany jest do wojska, gdzie wśród krzyków i kopniaków uczą go władać karabinem typu Mauser i uczą nienawidzieć swojej klasy".

Z wojska wraca do życia peona albo pastucha na latyfundium, z głodowym wynagrodzeniem 10 centów dziennie. Być może powiedzie mu się lepiej i dostanie w dzierżawę szmat piasku czy ziemi alkalicznej, niepotrzebnej właścicielowi hacjendy. Albo rzuci tę robotę i szukać będzie ratunku polując i łowiąc ryby w Titicaca.

WOLNE TERYTORIUM PERU

Pewnego dnia pojawił się w dolinie Convencion w departamencie Cuzco młody człowiek, poszukujący pracy. Przewędrował dolinę oglądając na własne oczy prawdziwość słów Aguilara: „Indianin z gór zaczyna agonię z pierwszym tchnieniem życia, w chwili przyjścia na świat". Szybko stał się znany wśród chłopów. Pracę dniówkową jako robotnik rolny znalazł w Chaupimayo, gigantycznym latyfundium Alfreda Romainville, znanego z mordów i okrucieństw popełnianych na peonach. Tu założył pierwszy związek zawodowy chłopów pańszczyźnianych. Owocem jego dalszej pracy organizacyjnej oraz współpracy Eduardo Sumiri, Saturnino Wilca i Fortunato Walpa było powstanie następnych komórek w Pachak Grande i Chancamallo w dolinie Lares. Wkrótce organizacji chłopskich było już 75 i zrzeszyły się one w Federację Prowincjonalną Chłopów Doliny Convencion.

Człowiekiem tym był Hugo Blanco. Jego też chłopi wybrali delegatem Chaupimayo, a następnie sekretarzem egzekutywy Federacji.

Kim jest Hugo Blanco? Oddajmy głos autorowi artykułu w kubańskim piśmie „Bohemia", Enrique Lopez Oliva, który dał charakterystykę przywódcy chłopów peruwiańskich. „Blanco ma 26 lat, ale wygląda znacznie młodziej, nosi brodę i jest wysoki (175 cm wzrostu), korpulentny (waży około 80 kg), wargi ma wydatne, nos ostry i długi, włosy kręcone. Typowy Metys. Ma zwyczaj chodzić boso jak chłopi w tej okolicy, nosi spodnie zawsze bardzo ściągnięte w pasie, koszulę spłowiałą i wielkie sombrero „alon" z szerokim rondem, podobnie jak wieczna „talega", worek ze zwykłego płótna na pożywienie, z przypiekanym „hanka" — bobem — dla zapełniania żołądka podczas długich marszów". Lopez Oliva podaje też garść szczegółów biograficznych. Hugo Blanco jest studentem agronomii, pochodzi z rodziny drobnej burżuazji z Cuzco. Po skończeniu szkoły średniej w Cuzco, wyjechał na studia do Argentyny, gdzie wstąpił na Wydział Inżynierii Rolniczej Uniwersytetu La Plata, pracując jednocześnie jako robotnik. Poznał tam profesora Silvio Frondizi, brata obalonego niedawno prezydenta Argentyny. Profesor Frondizi kierował grupą o tendencjach trockistowskich, ale nie wydaje się, żeby ideologia ta wywarła wpływ na Blanco. Powróciwszy po czterech latach do Cuzco, zorganizował związek zawodowy czyścibutów, a w rok później powędrował w kierunku doliny Convencion...

Pierwszą akcją organizacji chłopskich był strajk jako reakcja na nową samowolę obszarników. Strajk w tej okolicy tym się charakteryzuje, że peoni pracują jedynie dla zaspokojenia własnych potrzeb. Lecz nie poprzestano na akcji strajkowej. We wsiach dolin Convencion i Lares starzy ludzie opowiadają wieczorami legendy o świetności Inków i epopei Tupaca Amaru. To zapładnia wyobraźnię, daje bodziec do działania. Zrzeszeni chłopi poczuli rewolucyjną siłę tkwiącą w ich organizacji. Zażądali ziemi. Atak na posterunek policji we wsi Pujyura, kierowany przez Hugo Blanco, dał im do ręki broń. Potem przyszło wywłaszczenie „gamonala" Alfredo Romainville. Powstają dwie strefy wyzwolone: doliny Convencion i Lares. Na gruzach latyfundium ręce chłopa, żołnierza pierwszego oddziału partyzantów peruwiańskich, umieszczają tablicę z napisem: „Wolne terytorium Chaupimayo". Zdobyto doskonały radioodbiornik. Gdy radio Hawana transmituje przemówienie wodza rewolucji kubańskiej, tłumy wyzwolonych chłopów z Chaupimayo i sąsiednich wiosek, ściskając w rękach karabiny, wsłuchują się w głos tego, którego nazywają w języku kiczua „taitacha Fidel", ojczulkiem Fidelem. Głos Fidela przesila się i chrypnie, usiłując przekrzyczeć milion rozentuzjazmowanych Kubańczyków, którym wtórują okrzyki zgromadzonych tysiące kilometrów dalej chłopów peruwiańskich. Kuba jest dla nich przykładem. Rewolucja, która obaliła tyranię, dała chłopom ziemię, dała ludowi broń, zlikwidowała analfabetyzm... W Peru 10 milionów ludzi, 77 procent ludności, zarabia siedem dolarów na miesiąc, 500 osób zaś, owa oligarchia, 7 tysięcy dolarów! A 60 procent Peruwiańczyków to analfabeci...

W strefach wyzwolonych organizacje chłopskie czuwają nad produkcją, rozdzielają ziemię, opłacają nauczycieli, administrują i sądzą, wydają gazetki. Kierownictwo ruchu jest na wszystkich szczeblach kolektywne. Raz w tygodniu chłopi zbierają się, roztrząsając w języku kiczua swoje problemy. Ich szeregi zasilają patrioci z całego kraju, bez względu na przynależność partyjną. Pyta się ich jedynie, czy pragną walczyć dla rewolucji.

A walczyć trzeba z bronią w ręku. Następnego dnia po ataku chłopów na Pujyura, dowódca Gwardii Cywilnej i policji gen. Quea, przybył do stolicy prowincji Convencion, „aby zaprowadzić porządek". Przeciw partyzantom rzucono 5 tysięcy żołnierzy, helikoptery i czołgi. Tymczasem w Cuzco 8 tysięcy chłopów solidaryzując się z partyzantami demonstrowało, żądając reformy rolnej. Na atak policji demonstranci odpowiedzieli kamieniami i kijami. Bilans: jeden chłop zabity, siedmiu ciężko rannych.

Błędem byłoby oczywiście sądzić, że w chwili obecnej główny front walki mas ludowych Peru przebiega w dolinie Convencion. Stanowi ona tylko jeden z elementów tej walki, o tyle jednak istotny, że świadczący o aktywizacji Indian andyjskich, tej najbardziej pokrzywdzonej społeczności w Ameryce Łacińskiej. Co pewien czas napływają tymczasem informacje o wzroście napięcia w kraju. W połowie marca grupa rewolucjonistów opanowała koszary policji w Huacrachuco, zdobywając magazyny broni. Gen. Blondet z rządzącej junty wojskowej zaprzeczył w związku z tym doniesieniom o potyczkach z partyzantami i o opanowaniu przez nich na kilka godzin Huacrachuco, choć podano jednocześnie, że postrzelony został kapitan policji. 18 maja nowe informacje: w dżunglach departamentu Madre de Dios działa oddział partyzancki, wyposażony w broń maszynową. Doszło tam do potyczki z wojskiem i policją: zabity został sierżant wojsk rządowych, a w ręce władz wpadł ranny w walce młody partyzant.

Nie wydaje się jednak, żeby już dziś istniały warunki do rozpoczęcia walki zbrojnej na szeroką skalę. Partia komunistyczna ostrzega przed mechanicznym przenoszeniem doświadczeń partyzanckich do Peru. Rzeczą dziś najistotniejszą jest umocnienie Frontu Wyzwolenia Narodowego (FLN), grupującego siły demokratyczne z komunistami włącznie. Jeśli FLN stanie się ruchem prawdziwie masowym — wtedy w jego rękach spocznie kierownictwo walki i on zadecyduje o wyborze pokojowych czy niepokojowych metod walki. Tymczasem na drogach prowadzących do doliny Convencion chłopi dowodzeni przez Hugo Blanco, mężnie stawiają czoła armii dysponującej nowoczesnym sprzętem. Obronią zdobytą ziemię, albo polegną.

W roku 1926 historyk Valcarcel napisał: „Proletariat indiański oczekuje swojego Lenina". Albo Tupaca Amaru, czy Fidela Castro.

Czy Indianie peruwiańscy doczekali się?

* * *

Z ostatniej chwili: BLANCO SCHWYTANY.

Agencja Prensa Latina donosi:

„Lima, 31 maja. — Jak informuje Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, w dniu wczorajszym aresztowany został Hugo Blanco, szef oddziału partyzanckiego, od dwóch lat prowadzącego walkę z reżimem peruwiańskim w dolinie Cuzco. Zgodnie z komunikatem rządowym, Blanco, który był chory, został schwytany w okolicy Quillabamba, po okrążeniu go przez kombinowane siły gwardii cywilnej i wojska. Wprowadzono nawet ścisłą kontrolę we wszystkich aptekach — dodaje komunikat oficjalny — żeby uniemożliwić udostępnienie mu lekarstw. Sam rząd peruwiański przyznaje w swym oświadczeniu, że aresztowanie nie było przedtem możliwe, bo trzeba się było liczyć z poparciem udzielanym Hugonowi Blanco przez tysiące chłopów, którzy żyją i pracują w nadzwyczaj ciężkich warunkach.

Hugo Blanco uwięziony jest w koszarach wojskowych w Cuzco; brak jest innych szczegółów, dotyczących jego sytuacji".

ZBIGNIEW KOWALEWSKI

TADEUSZ PAPIER

Ekipa „Antygona"

Henryk Grynberg należy do najmłodszego pokolenia pisarzy. Nota wydawnicza podaje jego krótki życiorys. Urodził się w roku 1936 we wsi Radoszyna niedaleko Mińska Mazowieckiego. W czasie okupacji ukrywano go w Warszawie i na Podlasiu. Gimnazjum ukończył w 1954 roku w Łodzi, a Wydział Dziennikarski w 1958 roku w Warszawie. Pomiędzy tymi datami rozpięte jest całe życie. Pomiędzy tymi datami zmieściła się także potworna wojna.

Każde z opowiadań Grynberga (z tomu **Ekipa „Antygona"**) zawiera w sobie echa tej wojny. Nawet te (świetne!) współczesne obrazy ze Wschodu („Nieznajomy", „Jidit", „Niepowodzenie w Nazarecie") nie są pozbawione tej osobliwej nuty. Ale najbardziej charakterystyczne pod tym względem wydają mi się opowiadania „Sielanka — Siaj" i „Hamlet". Pierwsze — ukazujące dzieciństwo bohatera i tragiczny finał tej sielanki, drugie — odwiedziny rodzinnych stron — tutaj przecież znajduje się grób ojca, „miejsce, którego bohaterowi najbardziej brakowało". Ta scena nad grobem ojca należy do najbardziej wstrząsających. Ukazuje wciąż jeszcze żywą ranę — mimo iż od tamtego ponurego „czasu pogardy" upłynęło już blisko dwadzieścia lat. Nie może być bardziej bolesnego aktu oskarżenia rzuconego minionemu czasowi i ludziom. I nie może być piękniejszej postawy, jaką reprezentuje Lukim — „Hamlet" (ma przy sobie ukrytą beduińską szabarijię

HENRYK GRYNBERG

na tego, kto zabił mu ojca, ale wiemy, nie użyje jej), który nie przebacza (i nie powinien przebaczać), i nie godzi się łatwo z losem, a przecież odnajduje nowe siły przy grobie swego ojca. „Trzeba twarz wyciągać jak najwyżej do Słońca — powiada Lukim — a jednocześnie korzeniami głęboko tkwić w ziemi".

'Proza Grynberga jest czysta, odświeżająca. Grynberg podejmuje temat nienowy; martyrologii żydowskiej poświęcił niemal całą swoją powojenną twórczość Adolf Rudnicki. A jednakże ta pierwsza książka Grynberga wnosi jakiś nowy ton, który natychmiast się dostrzega. Bohaterowie Rudnickiego („Żywe i martwe morze") akcentują mocno swoją odrębność narodową i środowiskową. Nie wszyscy, są tacy, którzy powiadają, że po tych wszystkich przeżyciach „powinniśmy wszystko zrobić, aby obalić przegrody między ludźmi..." Jednak większość bohaterów Rudnickiego tych przegród obalić nie umie albo nie chce. Regina Borkowska nie godzi się wewnętrznie z decyzją syna, który żeni się z Polką. Można oczywiście zrozumieć taką postawę. Wynika ona ze wszystkich okrucieństw losu, którym Żydzi zostali poddani. Ze straszliwego osamotnienia, w którym wypadło im żyć. Henryk Grynberg w swojej pierwszej książce maluje świat żydowski jakby w cieplejszej tonacji. Jego bohaterowie nie żyją w odosobnieniu. Witani i żegnani są na wsi „słowem bożym". Należą do krajobrazu jak należą do niego wszyscy inni, tutaj zamieszkujący. Nawet wtedy gdy nastąpiły owe „dni pogardy" i zaczęły się dziać rzeczy odmierzające czas kroplami krwi, męki, poniżenia, zdrady, Grynberg nie stawia muru pomiędzy poszczególnymi grupami tego samego społeczeństwa. Mur postawił kto inny, kto przyszedł tutaj z mieczem i pieśnią wojny. Miałem ciotkę, powiada bohater „Pełnomocnictwa", „to tę właśnie ciotkę spotkał Śliwa, jak szła środkiem wsi w biały dzień. Była obszarpana i chuda po tyfusie. Z jednej strony szedł Śliwa, a z drugiej znajomy żandarm. Żandarm szedł prosto na nią, lecz Śliwa podbiegł pierwszy i wziął ją za rękę. — To moja siostra — powiedział. — Wysiedlona właśnie się jej spodziewałem".

Miałem więc rodzinę... dzisiaj chodzę i szukam ich śladów na miejscach wielkich straceń, wśród polnych mogił. To szukanie jest wstrząsające. Można się domyślać, że Grynberg zrobił literacki użytek ze swoich doświadczeń z okresu wojny. Ale to nie ma znaczenia dla oceny dobrej i wzruszającej książki, której autor szuka „człowieka w człowieku" i tych idei i norm moralnych, które porządkują życie społeczne.

Henryk Grynberg, Ekipa „Antygona", PIW, 1963, str. 127, cena zł 10.

Scugnizzi *czyli* ksiądz-ulicznik

Dalszy ciąg ze str. 2

nie w nocy" okazuje się sporadycznym schorzeniem społecznym, którego nie można lekceważyć, lecz którego nie należy też przeceniać.

Podczas stu dwudziestu dni i nocy ksiądz-scugnizzo żył więc na pograniczu dobra i zła, żeby poznać i zrozumieć los dzieci, wyrzuconych przez warunki gospodarcze Neapolu turystów i chrześcijańskiej demokracji na ulicę. Heroiczny i desperacki (powiedzmy to sobie) zamysł księdza-filantropa skończył się utworzeniem przytułku dla bezdomnych. Ksiądz Borelli otrzymuje niewielkie subwencjum czy raczej — ofiarę z Watykanu, a poza tym radzi sobie jak może, własnym przemysłem, jak byśmy powiedzieli.

Czy jednak ta akcja charytatywna szlachetnego księdza usunęła zło społeczne w Neapolu? Czy, w ogóle, zadajemy sobie pytanie, filantropia może zagoić (nie mówiąc już o usunięciu) rany społeczne ustroju kapitalistycznego?

Robert Serrou, z reportażu którego czerpię powyższe dane, odpowiada na to kategorycznie. Cytuję i tłumaczę dosłownie: „Pomimo nadludzkich wysiłków (księdza) w dalszym ciągu jest tyleż scugnizzi w smrodliwych zaułkach Neapolu. I to trwa od wieków!"

ARYSTARCH

złoto ucieka z Italii

Malownicze Ponte Chiasso jest tylko jednym z 70 punktów granicznych na granicy włosko-szwajcarskiej. Biegnie ona wąskimi górskimi ścieżkami, przełęczami szczytami i jeziorami, nieregularna i kapryśna. W ciągu roku przez tę granicę przewieziono nielegalnie do Szwajcarii blisko tysiąc miliardów lirów czyli sumę równą jednej piątej budżetu narodowego Włoch. Największa afera przemytnicza w powojennej Europie. Aby ją zrozumieć, zajrzyjmy w stare uliczki Lozanny, Bazylei i Zurichu. Nad bramami wielkowych pałacyków skromne tabliczki: „Międzynarodowe towarzystwa transportowe". Towarzystwa, które nigdy nie zajmowały się transportem towarów. Większość ich powstała na początku lat 30. Znaczna część Europy znajdowała się wówczas w rękach dyktatorów. Szalał terror. I „Międzynarodowe towarzystwa" wszystkimi możliwymi i niemożliwymi sposobami ściągały do Szwajcarii prześladowanych z całej Europy. Zwłaszcza Włosi masowo korzystali z ich usług.

Po wojnie zmieniły charakter swej działalności, ale część z nich przetrwała.

W kwietniu 1948 r. burżuazja włoska obawiając się zwycięstwa komunistów w wyborach zaalarmowała „towarzystwa transportowe". Zorganizowały one istną Dunkierkę włoskich miliardów, wywożąc je w dyskretny sposób do Szwajcarii. Po 10 dniach po zwycięstwie wyborczym chadecji miliardy w równie dyskretny sposób powróciły do swej ojczyzny.

Na granicy włosko-szwajcarskiej, jak gdyby przez Boga stworzonej dla kontrabandy, rozkwitł ponownie tradycyjny przemyt: czekolada, zegarki, aparaty fotograficzne.

W marcu 1962 roku znów rozdzwoniły się telefony w biurach „towarzystw". Zdawać by się mogło że powracają gorące dni lat 1935 i 1944. We Włoszech powstał rząd centrolewu. Burżuazja zaczęła się nacjonalizacji przemysłu, wywłaszczeń, podwyższenia podatków. Lęk ten przeobraził się w panikę, kiedy w maju ustanowiono 15-procentowy podatek ceduralny, pobierany od dywidend przyznawanych przez towarzystwa akcyjne akcjonariuszom.

Szczególna panika ogarnęła Mediolan i całą Lombardię, skupiającą blisko 40 proc. akcji włoskich. Lombardczycy musieliby zapłacić 12 miliardów lirów podatku, a z sumy tej — 7 miliardów sami mediolańczycy.

Liry zaczęły więc płynąć do Szwajcarii. Sytuacja zaostrzyła się jeszcze z chwilą ogłoszenia ustawy o nacjonalizacji przemysłu elektrycznego i w związku z pogłoskami o dewaluacji lira.

Oczywiście transport pieniędzy do Szwajcarii odbywa się nielegalnie. Prawo włoskie nie pozwala na swobodny wywóz waluty. Do Szwajcarii wolno wywieźć tylko 500 tysięcy lirów. Na większe sumy potrzebne jest specjalne pozwolenie, wydawane nie bez poważnych trudności. O wiele łatwiej powierzyć sprawę tajnym kurierom, ludziom zaufania „towarzystw transportowych". Za każdy wywieziony milion żądały one wynagrodzenia w kwocie od 800 do 1000 lirów. Szef siatki kurierskiej otrzymywał tylko 500 lirów za każdy milion, z czego 225 lirów płacił swoim 100 „kurierom". Towarzystwa zarabiały więc praktycznie 300 lirów od miliona a przy wyższym wynagrodzeniu ubezpieczały powierzone im pieniądze.

Transport odbywał się różnymi sposobami. Najklasyczniejszy z nich polegał na wypuszczaniu karawany złożonej z kilkunastu samochodów. Samochody wyjeżdżały z Mediolanu lub Como jeden za drugim w odległości jakiejś pół godziny. Pod siedzeniami lub w obiciach ukryte były pieniądze — 50 lub 100 milionów. Przejechawszy granicę, kierowca telefonicznie dawał znać następnemu wozowi, że droga jest wolna. Przemyt odbywał się również koleją.

W pociągach najczęściej „pracowali" 13—14-letni chłopcy i młode dziewczęta.

A jaki był los tych pieniędzy na ziemi szwajcarskiej? Albo zamykano je w sejfach banków szwajcarskich albo też lokowano w nieruchomościach. W ostatnim wypadku skarb państwa włoskiego ponosił straty ponieważ wymykały mu się z rąk należne podatki. Największy jednak uszczerbek dla gospodarki narodowej Włoch stanowiły innego rodzaju machinacje. tworzy się w Szwajcarii prowizoryczne towarzystwa, których celem jest inwestowanie kapitału we Włoszech. Liry wywiezione nielegalnie z Italii w ciągu 48 godzin wracają do ojczyzny, ale już oficjalnie, w postaci franków szwajcarskich które jako zagraniczny kapitał inwestycyjny są premiowane w wysokości 3,5 proc. Nieuczciwy finansista, który wysłał do Szwajcarii 100 milionów, zarabia kosztem państwa 3 i pół miliona lirów. Wzrost znaczenia lira na rynkach europejskich stał się również jedna z przyczyn wielu nieuczciwych machinacji finansowych. Warto na marginesie dodać, że w Szwajcarii nie istnieją żadne przepisy ograniczające przywóz lub wywóz waluty. Złote interesy można również zrobić na nieoficjalnej wymianie walutowej, biorąc pod uwagę małe nawet różnice kursów i pewne znane fachowcom „sztuczki". Często ofiarami tych „sztuczek" padają emigranci pracujący na terenie Szwajcarii i powracający na pewien okres czasu do ojczystego kraju.

A co robi włoska policja i władze finansowe? W roku 1962—63 zarekwirowano 400 milionów lirów — co nie stanowi nawet połowy jednej tysięcznej wywiezionych sum. Kontrola jest bardzo trudna — powiadają celnicy. W dniach szczytu przez punkt graniczny w Ponte Chiasso przejeżdża 16 tysięcy samochodów. Co 5 sekund jedno auto. Czy starczy czasu na ich dokładne przeszukanie? A jeśli nawet to przemyt pójdzie górami i jeziorami.

Z drugiej strony przemytnicy nie ryzykują wiele. Zarekwirowane pieniądze zostają w ciągu 2—3 miesięcy zwrócone po odtrąceniu 3,5 procentowej grzywny. Kierowców nie pociąga się do żadnej odpowiedzialności karnej.

Przemytników wolno jedynie zatrzymać na samej granicy. W odległości kilku kroków od niej są zupełnie bezkarni. Celnicy i straż graniczna skarżą się na swoją bezsilność. Jedynymi ich sojusznikami w walce z kontrabandą są rabusie rekrutujący się bardzo często z grona samych przemytników. Cóż można zdziałać w obliczu sprawnie zorganizowanych band przemytniczych, na granicy tak ruchliwej (w Ponte Chiasso przechodzi dziennie 20 tysięcy ludzi) i tak, z powodu warunków geograficznych trudnej do opanowania? Cóż można zdziałać w obliczu śmiesznie niskich sankcji karnych i anachronicznych przepisów prawnych?

A co na to Szwajcarzy

Przez dziesiątki lat Szwajcaria była miejscem schronienia dla rewolucjonistów i ofiar prześladowań politycznych z całego świata. Jej gospodarka opierała się na kapitałach, które powierzono pieczy szwajcarskich banków. Z początkiem 1962 roku, kiedy to świat odetchnął na skutek wyraźnego odprężenia w sytuacji międzynarodowej rezerwy szwajcarskie zmniejszyły się z miliarda 175 milionów franków do pół miliarda. Prezes Banku Narodowego oświadczył bez ogródek: „Jeśli sytuacja międzynarodowa ulegnie dalszej poprawie, grozi nam odpływ lokowanych w naszych bankach kapitałów. Fakt ten pociągnie za sobą bardzo przykre i niebezpieczne konsekwencje. Radca federalny Schaffner postawił sprawę jeszcze jaśniej: „Jeżeli stracimy zagraniczne kapitały naszej gospodarce narodowej grozi absolutny krach".

Wydarzenia polityczne jakie miały miejsce we Włoszech w roku 1962, dostarczyły bankom szwajcarskim potężnej dawki kapitału. Gospodarka ojczyzny Wilhelma Tella otrzymała więc silny zastrzyk wzmacniający. Czy na długo? I czy sami Włosi są tym faktem zachwyceni? Skarb państwa poniósł i ponosi ogromne straty. Jak im zapobiec? „Zaostrzanie kontroli granicznej — mówi jeden z wysokich funkcjonariuszy celnych — nie na wiele się przyda. Pieniądz trzeba zatrzymać u nacżei. Trzeba stworzyć nowoczesne państwo dysponujące odpowiednimi środkami pozwalającymi na zapobieżenie odpływowi pieniądza z kraju i dające obywatelowi właściwe gwarancje. Walka ze spekulacją finansową nie może się toczyć tylko na granicy. Musi objąć strukturę państwa i kraju".

TADEUSZ WIĄCEK

NAD LITERATURĄ KRYMINALNĄ

Zaczęło się bodajże w 1955 r. Po kilkuletnim zastoju na tym polu, zaczęły się pojawiać pierwsze polskie „kryminały". Wystartowało równocześnie dwóch autorów. Debiutujący Andrzej Piwowarczyk i jeszcze przed wojną piszący Tadeusz Kostecki. Pierwszy wydał „Królewnę", drugi opasłą książkę pt. „Cień na pokładzie". Właśnie tymi utworami narodziła się współczesna literatura kryminalna w Polsce. Zgodnie z utartymi wzorami, obaj pisarze wprowadzili stałych bohaterów swych książek. Jednak różnili się oni zasadniczo od dotychczasowych bohaterów literatury sensacyjnej. Nie byli to stereotypowi detektywi-amatorzy. Kapitan Gleb i doktor Kostrzewa pełnili funkcję oficerów milicji. Do obu książek wprowadzono współczesny aparat śledczy MO. Akcja rozgrywała się współcześnie. Kostecki aktualizował nawet w ten sposób, że wprowadził do swej powieści piratów z Taiwanu. Patrząc na te książki z perspektywy ośmiu lat, nietrudno zauważyć ich braki. Autorzy gubili się w fabule, udziwniali ją, styl nie grzeszył poprawnością. Niemniej były to pierwsze książki kryminalne pokazujące pracę milicji i dobrze osadzone we współczesności. Po powodzeniu „Królewny" Piwowarczyk „rozkręcił się" i w niedługim czasie stał się najpopularniejszym polskim autorem książek sensacyjnych. Ukazują się „Maszkary" i „Stary zegar", potem zbiór „Kapitan Gleb opowiada". W następnym roku pojawiają się nowi autorzy — Piotr Guzy i Jacek Wołowski. Ten ostatni publikuje beletryzowany reportaż o głośnym wówczas zbrodniarzu Mazurkiewiczu pt. „Walter nr 45771".

Czy wymienieni pisarze odznaczają się wybitnym talentem, nie chcę odpowiadać na to pytanie.

W roku 1956 półki księgarskie coraz częściej goszczą literaturę kryminalną. Wydawnictwo „Iskry" powieścią Agathy Christie „N czy M" otwiera najpopularniejszy cykl powieści kryminalnych, „Klub Srebrnego Kluczyka". Pierwszym polskim „kryminałem" z tej serii jest „Zaułek mroków" Kosteckiego. To chyba najlepsza jego książka, z Kostrzewą w roli głównej. Kosteckiemu można wszystko zarzucić, ale przyznać trzeba, że czytając jego książki, nie można się nudzić. Temu doświadczonemu (przed wojną pisał powieści kowbojskie i sensacyjne — wznowione w końcu lat pięćdziesiątych) autorowi często zdarza się, że sam gubi się w zbyt mocno rozbudowanej akcji. Tak jest w „Zaułku mroków" i „Dziwnej sprawie". Niemniej, wśród autorów kryminalnych tamtego okresu, Kostecki wydaje się być najzdolniejszym. W tym samym czasie „Srebrny Kluczyk" publikuje reportaże kryminalne Azderballa (tego od „Białego niedźwiedzia") i Fristera „Naszyjnik kapitana Holicza". Będąc już przy tej serii, chciałbym zwrócić uwagę, że właściwie tylko „Iskry" ogłaszają zbiory reportaży sensacyjnych pn. „Zbrodnia kidnapera", czy „Książę oszustów". Inne wydawnictwa stronią od takich książek i chyba niesłusznie. Zaznaczam, że reportaże sądowe Falkowskiej wydane w Wydawnictwie Łódzkim nie należą, moim zdaniem, do literatury kryminalnej sensu stricto. Z innych autorów polskich w „Klubie Srebrnego Kluczyka" wymienić należy Zaydler-Zborowskiego, Guzego, Marczyńskiego („Kłopoty ze spadkiem"). Powieści ich nie należą, niestety, do udanych. Wiele tam grafomanii, złego smaku i tanich, oklepanych efektów. Obok „Srebrnego Kluczyka" pojawiają się nowe serie „kryminałów". Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej wypuszcza serię „Labirynt". Wydawnictwo „Śląsk" otwiera w 1958 r. serię z głową Chińkie Chana (filmowego) na okładce (nie biorę pod uwagę brukowej kieszonkowej serii „Złota podkowa"). Wydawnictwo Poznańskie wydaje serię „Przygoda, awantura, sensacja". I również nie chcę odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu wymienione wyżej trzy serie przyczyniają się do zdeprecjonowania naszej literatury kryminalnej.

Około roku 1960 następuje swego rodzaju przełom w polskiej literaturze sensacyjnej. Znikają dotychczasowi autorzy, a ich miejsce zajmują o wiele zdolniejsi. Zmiana dokonuje się od czasu ukazania się „Śledztwa" Lema. Ten świetny „kryminał" wniósł coś nowego do mocno już schematycznej naszej literatury kryminalnej. Lemowi udało się pogodzić powieść psychologiczną i kryminalną. Uciekł od dotychczasowego stereotypu powieści kryminalnej, osadzonej w naszej współczesności. Dla Lema nieważne było, czy akcja jego utworu rozgrywać się będzie w Polsce, czy gdzie indziej. Ważny jest sam proces śledztwa i... zagadka. O tym ostatnim zdawali się zapominać dotychczasowi autorzy, a jeśli próbowali, to robili to bardzo nieudolnie. Od tego czasu jest coraz mniej powieści kryminalnych, które miałyby „ambicje" wyglądać na autentyczne. Znikają oficerowie MO i rodzimi zbrodniarze umieszczeni na siłę w naszej rzeczywistości. Kosztem tego, autorzy nie przywiązywali specjalnej uwagi do precyzyjnego budowania akcji i poprawienia stylu. Polski „kryminał" traci na autentyczności, ale zyskuje większą wartość literacką. To oderwanie się od polskiej rzeczywistości wpłynęło w owym czasie na ożywienie literatury kryminalnej. Owszem, zdarzały się powieści, których akcję umieszczono współcześnie w Polsce (np. „Strachy w Biesalu" Putramenta (!), ale były to twory, które tylko z formy można było zaliczyć do literatury. Z nowo przybyłych nazwisk na czoło wybijają się Joe Alex, Maurice Andrews, Noël Randon. Oczywiście, obok nich pojawia się rzesza innych „zachodnich" nazwisk, nie warta jednak wzmianki.

Blędną dotychczasowe serie powieści kryminalnych (oprócz „Srebrnego Kluczyka", a ich miejsce zajmują nowe. „Czytelnik" wydaje „Jamnika", jedną z najpopularniejszych serii w tej chwili, a KiW wypuszcza również swoją serię. O ile w „Jamniku" ukazały się obok dobrych również bardzo słabe „kryminały", to w serii KiW odnajdujemy tradycyjne słabe powieści współczesne, jak np. „Fatalna zapalniczka". Obecnie bezsprzecznie najlepsze serie powieści kryminalnych, to „Srebrny Kluczyk" i „Jamnik".

Ale wróćmy do autorów. Cała wymieniona trójka ukrywa się pod pseudonimami. Niewątpliwie najzdolniejszym z tej trójki jest Alex. Można mu zarzucić, że jego kryminały nie mają nic polskiego. Bohaterem jest pisarz detektywistyczny zgodnie współpracujący ze Scotland Yardem. Akcja jego powieści toczy się na ogół w starej, poczciwej Anglii. Ale utwory Alexa odznaczają się doskonałym opanowaniem rzemiosła pisarskiego, tok narracji jest nienaganny. Każda jego powieść spełnia warunki dobrego „kryminału". Odznacza się precyzyjną logiką, każdy fakt wynika z poprzedzającego faktu. Zagadka w każdym utworze zdradza pomysłowość autora. Reasumując, powieści Alexa, mimo że wzorowane na zachodnich, można zaliczyć do literatury kryminalnej najlepszego gatunku. Na drugim miejscu postawiłbym Randona. W odróżnieniu od Alexa, umieszcza on akcję we Francji. W jego powieściach mamy do czynienia z logiką w niczym nie ustępującą temu pierwszemu. Gorzej z narracją („Donoszę ci, Luizo"), a pomysłowością błysnął dopiero w „Zbrodni na konkurs". Andrews nie zaszokował swą pierwszą powieścią jak tamci dwaj (Alex — „Powiem wam, jak zginął", Randon — „Dwie rurki z kremem"). Wystartował słabą „Dymisją nadinspektora Wilburna", ale późniejsze jego utwory, jak np. „Śledztwo przy ulicy Laos" pozwalają stawiać go obok tamtych. Wszyscy ci trzej pisarze stworzyli osobnego bohatera powtarzającego się w ich utworach. Jak już wspomniałem, u Alexa jest to pisarz detektywistyczny, u Randona i Andrewsa — inspektorzy policji.

Czy należy wymagać od „kryminału" autentyzmu? Sądzę, że najważniejsze jest precyzyjne, logiczne budowanie akcji i pomysłowość rozwiązania. Wysiłek autora winien być zwrócony na konsekwentnie prowadzoną zagadkę. Najbardziej lubię „kryminały" o tradycyjnej budowie: morderstwo, śledztwo, rozwiązanie. Na powyższym schemacie najłatwiej się przekonać, czy mamy do czynienia z utalentowanym autorem powieści sensacyjnych, czy też z grafomanem. Moje stanowisko jest na pewno dyskusyjne, ale właśnie o spowodowanie dyskusji nad polskim „kryminałem" mi chodzi. I rzecz prosta, kryminał winien jednak „uczyć". Nie tylko hołdować taniej i bzdurnej sensacji. Sądzę, że winien wzbudzać u czytelnika pogardę dla wszelkiego brudu — dla zbrodni, przestępstwa.

Moda na zagranicę nie objęła jednakże wszystkich naszych autorów powieści kryminalnych. „Kryminały", których akcja toczy się w kraju, starają się pozbyć niedobrej maniery, schematyzmu, złego smaku, słabego języka i niedostatecznej pomysłowości. Wszystkie te atrybuty poważnie obciążały polskie powieści kryminalne z lat poprzednich. Do wybijających się autorów, którzy nie zrezygnowali w swych utworach z naszej rzeczywistości, jest Zbigniew Nienacki. Jego „Worek Judaszów" (powieść, którą na pewno da się zaliczyć do literatury sensacyjnej" i „Lasecczka i tajemnica" są przykładem tego, że powieść kryminalna osadzona w polskiej rzeczywistości może być również zajmującą i dobrze napisaną. Chciałbym zaznaczyć, że rozgraniczam tutaj literaturę kryminalną od rozrywkowej, typu utworów Barbary Gordon, Bystrzyckiej, Fleszarowej-Muskat, Jackiewicza i innych.

Przy zagadnieniu literatury kryminalnej wyłania się inny problem. Spośród kogo rekrutują się czytelnicy tych książek? Uogólniając, można powiedzieć, że „kryminały" lubi czytać każdy, od profesora uniwersytetu do zwykłego robotnika i od studenta filozofii do ucznia szkoły podstawowej. Ten wniosek nasunął mi się po odwiedzeniu kilku łódzkich księgarni. Wszyscy księgarze zgodnie stwierdzili, że „kryminały" są jedną z najbardziej pokupnych dziedzin literatury. Rozważania nad tym, czy ten stan rzeczy jest pocieszający, czy też nie, niewiele tutaj zmienią. Książki sensacyjne będą i tak miały niezliczoną rzeszę czytelników. Większość stałych odbiorców tego typu literatury, to inteligencja i młodzież. Jednakże biblioteki przyzakładowe i rejonowe (nie mówiąc już o prywatnych), notują także ogromne zainteresowanie książkami kryminalnymi. Ale tutaj przeważają już robotnicy. Odrębne zagadnienie to czytelnictwo wśród kobiet-robotnic. Niestety, do tej pory największą popularnością cieszą się u nich powieści-szmiry, stojące na pograniczu sensacyjno-rozrywkowych (w rodzaju Marczyńskiego, Nasielskiego i innych). Tutaj wyłania się zadanie dla bibliotekarzy rejonowych i przyzakładowych. Należy zwrócić większą uwagę czytelników na książki sensacyjne ostatnio wydane. Gwarantują one z pewnością lepszy poziom od przedwojennej literatury brukowej. I właśnie w tym miejscu współczesna powieść kryminalna może odegrać jak najbardziej pozytywną rolę. Nikt chyba nie przypuszcza, że u masy niedojrzałych czytelników dokona się od razu skok, od szmiry do wielkiej literatury. Rolę pośrednią może tu odegrać właśnie powieść kryminalna. Można założyć, że ktoś po przeczytaniu „kryminału" Dürrenmatta czy Faulknera, sięgnie również po inne książki tych autorów. Tu leżą chyba wielkie pozytywy literatury sensacyjnej, oczywiście tej, na dobrym poziomie.

DANUTA TARCZYŃSKA

Niecodzienna KOLONIA

Kiedy skręci się w ulicę Świerszczyka od razu wiadomo, że prowadzi ona do jakiegoś skupiska dzieci. Już z daleka słychać stłumione okrzyki, chichoty i tępe dudnienie odbijanej piłki.

Brama wiedzie w zieleń. Potem widać starannie utrzymane klomby, obsadzone jaskrawoczerwonymi georginiami i dwie ładne wille pałacyki. Należały one kiedyś do łódzkiego fabrykanta, Kindermana. Teraz służą młodzieży. Wydawać by się mogło, że nazwisko ekswłaściciela sprowokowało oddanie budynków na użytek dzieci.

Duże, przestronne sypialnie, wygodne łóżka, zasłane barwnymi kapkami. Zgrabne mebelki. Dużo kwiatów i światła. W zapleczu łazienki, sale rekreacyjne.

W każdym z dwu budynków jest taras i świetlica wyposażona w telewizor, radio, adapter, magnetofon i inny sprzęt potrzebny do przyjemnego spędzenia czasu.

GDZIE JESTEŚMY?

Tuż „pod bokiem". Na peryferiach Łodzi. W Ośrodku Wczasów dla Dzieci przy ul. Letniskowej 20, gdzie od 15.VII. mieści się Ośrodek Kolonijny Polonii Zagranicznej. Tu przebywają na wakacjach córki i synowie Polaków z zagranicy. Jest ich 60. 27 z Francji i 33 z NRF.

Dzieci z Francji przyleciały samolotem z departamentów Marny, Mozeli, Sekwany, Kalwados i kilkoro z Paryża.

Dzieci z NRF przyjechały trochę później. Pochodzą z Westfalii, większość z Bielefeldu i jego okolic.

Wywodzą się przeważnie ze środowiska robotniczego. Ich rodzicom „nie przelewa się". Ciężko pracują na utrzymanie rodziny i chętnie korzystają z pięknej akcji naszego rządu, który swoim „zagranicznym" dzieciom chce ułatwić spędzenie atrakcyjnych i tanich wakacji w ojczyźnie.

Kolonia jest nietypowa, choćby tylko ze względu na czas jej trwania — 7 tygodni. Plan pracy pozornie krótki:

1. Zapewnienie dzieciom racjonalnego wypoczynku.
2. Pogłębienie więzi uczuciowej z krajem ojczystym.
3. Pogłębienie znajomości mowy ojczystej i rozwijanie zamiłowania do czytelnictwa prasy krajowej i polonijnej.

W treści i wykonaniu — plan jest ogromny.

Wypoczynek — murowany. Pięknie położony i świetnie wyposażony ośrodek, sprawnie i atrakcyjnie prowadzone zajęcia, doskonałe wyżywienie i wiele rozrywek m. in. kino, teatr, opera — spełniają ten postulat.

Liczne wycieczki: wielodniowa na Wybrzeże, w Góry Świętokrzyskie, do Warszawy, zwiedzanie Łodzi i jej okolic, pozwalają na poznanie kraju, jego historii, dorobku naukowego i kulturalnego oraz ostatnich osiągnięć.

I tu zaczyna się najtrudniejsze zadanie. Wiele dzieci przyjeżdża do naszego państwa z nastawieniem wręcz nieprzychylnym. Ich wyobrażenia o kraju graniczą z absurdem. Przykładem tego może być pełen zdziwienia okrzyk Michela: „To w Polsce są tapczany?!" Oto wynik „ichniej" propagandy.

Tym dzieciom trzeba unaocznić jak w Polsce jest naprawdę. Ale bez „hurapatriotyzmu", patosu i nużących pogadanek. Po prostu w czasie wycieczek pokazuje się jak było dawniej i jak jest teraz. Bez komentarzy. Młodzież sama dochodzi do prawdziwych wniosków. A potem, wieczorem, kiedy już leżą w łóżkach, zastanawiają się np. czy we Francji są takie śliczne hale sportowe jak ta w Łodzi. Nie są tego pewni, nigdy w takiej hali nie byli, bo rodziców nie było stać na kupienie biletów na imprezę sportową.

Dąży się również do tego, aby dzieci z zagranicy poznały nasze życie codzienne, aby nie sądziły, że to co oglądają to „pokazówka". Dlatego zezwala się na kilkudniowe odwiedziny u krewnych mieszkających w różnych częściach Polski, czy na 2—3-dniowy pobyt w domach rodziców polskich współkolonistów. Po powrocie z takich „wypadów" inaczej patrzy się na ten „biedny zacofany kraj".

Podstawowa prośba rodziców naszych małych rodaków dotyczy nauki języka ojczystego. Wysyłając dzieci do Polski pragną, aby „podreperowały swój polski", bo

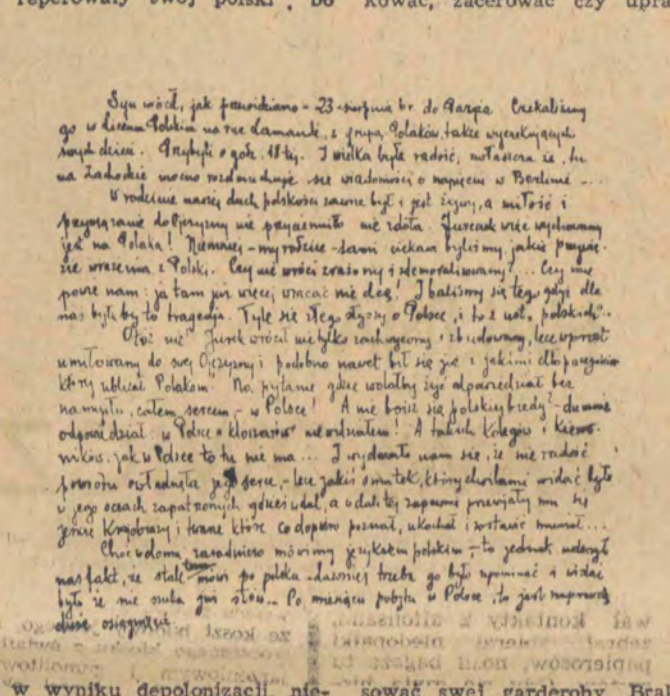

w wyniku depolonizacji, niechętnie się nim w domu posługują.

Życzenie to jest realizowane. Przede wszystkim przez rozwinięcie nawyku czytania prasy krajowej i polonijnej, pisanie w j. polskim i konwersację Zorganizowano również dobrowolne lekcje języka ojczystego. Spośród np. 27 dzieci Polonii Francuskiej, 14 chętnych uczęszcza co drugi dzień na bezpłatne zajęcia. Są one prowadzone przez fachowców, specjalną metodą i w oparciu o doskonałe teksty nadesłane przez Tow. „Polonia" w Warszawie.

NASZE „CUDZOZIEMSKIE" DZIECI

Ich nazwiska są na ogół polskie. Imiona również. Czasami tylko trafia się obcobrzmiąca Sonia, Anita czy Hans. Mają 11—14 lat, są przeważnie uczniami szkół podstawowych. Razem z nimi przebywa w ośrodku 40 dzieci „krajowych" z Łodzi i Warszawy.

W dużej grupie nie wyróżniają się specjalnie. Tylko czasami zwracają uwagę łamaną polszczyzną, innym wzorem tkaniny w sukience czy skórzanymi spodenkami.

Jedzą chętnie. Przepadają za polską szynką, polędwicą, twarożkiem, kiszonymi ogórkami, a z owoców: jagodami i wiśniami. Lubią polskie słodycze, wychwalają lody, które ich zdaniem są znakomite.

Nie lubią mleka, śmietany i masła. Wolą pszenne pieczywo od żytniego i proszą o prawdziwą kawę. Niektórzy chłopcy palą papierosy, pytali nawet o wino, ale im wytłumaczono, że nasze zawiera wyższy procent alkoholu, niż to do którego są przyzwyczajeni.

Ich wyposażenie osobiste jest zupełnie przeciętne. Nie brakuje w nim jednak silnych środków przeciwbólowych, lakieru do paznokci i perfum.

Moda dorosłych jest ich modą. Bawią się w dorosłych. Jakaś lekka dolegliwość — napychają się pigułkami; nie obetną porządnie paznokci, ale je jaskrawo pomalują; niestarannie się umyją, ale za to obleją pachnidłami. Na ulicę — tylko w pończochach, niezależnie czy w cieniu jest 20 czy 30 stopni ciepła — bo tak u nich modnie. Fryzury nastroszone i niewygodne, ale modne. Podobnie stroje. Ta zabawa kilkunastolatek w dorosłych jest dla nas, ludzi przyzwyczajonych do pewnych norm obowiązujących w określonym wieku, trochę żenująca i żałosna. Ale trzeba przyznać, że nasze „zagraniczne" dzieci w lot orientują się w sytuacji i w krótkim czasie upodabniają się do naszych uczennic.

Uderzająca jest ich nieporadność życiowa. Nie potrafią rozpakować się, zapakować, zacerować czy uprasować swej garderoby. Brak im również schludności i poszanowania własnych rzeczy.

Charakterystycznym zjawiskiem wśród dzieci polonijnych jest niechęć do wysiłku fizycznego i... chodzenia. Trzeba to tłumaczyć chyba tym, że są one mało sprawne fizycznie, co najbardziej uwidacznia się na zajęciach sportowych. Chłopcy lubią trochę pograć w „nogę", ping-ponga, postrzelać z wiatrówki. Dziewczęta interesują się tylko... tańcami. I to tymi najmodniejszymi, chociaż chętnie uczą się naszych tańców ludowych, które stanowią dla nich pewną egzotykę.

Innych zajęć sportowych nie uznają, łatwo się męczą. W porównaniu z nimi nasze „krajowe" dzieci są w sporcie „wyczynowcami". I za to chyba należy podziękować szkolnym nauczycielom w.f.

Również w dziedzinie oczytania i czytania „krajowe" górują nad „zagranicznymi". Nasze ciągle wypożyczają książki z biblioteki kolonijnej, interesują się różnymi dziedzinami wiedzy. Dzieci polonijne czytają tylko głupawe komiksy i wiele wysiłku kosztuje namówienie ich do przejrzenia choćby innej lektury.

„DOGADYWANIE SIĘ"

Tak się złożyło, że w bieżącym roku prawie wszystkie dzieci polonijne mówią trochę po polsku. Można się dogadać.

Pyta się człowiek o to, o owo; one indagują, informują się. W rozmowach tych uderza zaskakujący fakt: wszystkie dzieci zagraniczne cechuje brak ambicji życiowych, brak wiary w przyszłość. Np. na 21 dziewcząt z Francji tylko jedna po skończeniu szkoły podstawowej wybiera się do liceum. I to nie na pewno. Bo szkoła jest tam droga i nie wiadomo jak to będzie. Reszta wybiera się do pracy i na jakiś kurs.

Np. Arleta. Ma zaledwie 14 lat i już pracuje jako pomoc przy maszynach liczących. W ramach urlopu pracowniczego przyjechała na kolonie do Polski. Zarabia mało. Marzy jedynie o podwyżce.

Oto czternastoletnia Josianie. Skończyła w tym roku podstawówkę i po wakacjach będzie już pracować. Na szwalni. I co dalej? Może dobre małżeństwo... może własny sklepik...

Robi się człowiekowi strasznie przykro. Żal polskich dzieci, które nie mogą zaplanować sobie, choćby nauki w szkole średniej. Żal, że dla nich awansem życiowym jest zostać modystka lub sprzedawczynią w dużym magazynie.

Nasze „zagraniczne" dzieci są miłe i rozbrajające. Łatwo się aklimatyzują. Polską są oczarowane. Chciałyby tu jeszcze przyjechać. Nawiązują kontakty, zadzierzgują się przyjaźnie. „Dogadują się" — jak to nazywają.

Również ze swoimi krewnymi w kraju, którzy otaczają je troskliwością i serdecznościami, obdarowują nieraz bardzo kosztownymi prezentami.

I znów ciekawe zjawisko. Jeszcze kilka lat temu dzieci zagraniczne przyjeżdżały z paczkami dla krewnych w Polsce. Przywoziły jakieś niemodne u nich „ciuchy", jakieś drobiazgi. Obecnie „akcja paczek do Polski" prawie zanika. Rzadko które dziecko wiezie podarunki. Natomiast każde wyjeżdża obdarowane. Organizatorzy kolonii też o nich nie zapominają.

Książki, czasopisma, albumy — oto pamiątki z pobytu w kraju. A dla rodziców — papierosy i... polski chleb, którym zachwycają się i wzruszają nasi rodacy.

MAŁY JUBILEUSZ

W bieżącym roku po raz piąty zorganizowano w Łodzi kolonie dla dzieci Polonii Zagranicznej. Gościliśmy już dzieci z Węgier, Francji, Belgii i NRF. Przez wszystkie pięć lat kierownictwo Ośrodka sprawowali p. p. Zbigniew Osiniak i Piotr Jarosik. Mają za sobą dużo ciężkiej, odpowiedzialnej i dobrej roboty! Znajduje ona uznanie nie tylko władz, ale przede wszystkim u zagranicznych dzieci i ich rodziców. Najlepszym tego dowodem są nadchodzące od nich listy:

„Słowami szczerej wdzięczności i serdecznymi podziękowaniami pragniemy zaczynać ten list. Nie wiemy czym i kiedy będziemy mogli odwdzięczyć się Władzom Kraju i Kierownictwu Ośrodka Kolonijnego Polonii Zagranicznej, za możliwość pobytu na wakacjach w Polsce synowi naszemu Jerzykowi...

W rodzinie naszej duch polskości zawsze był i jest żywy, a miłości i przywiązania do ojczyzny nic przyćmić nie zdoła... Niemniej — my rodzice — sami ciekawi byliśmy, jakie przywiezie wrażenia z Polski. Czy nie wróci zrażony i zdemoralizowany? Czy nie powie nam: ja tam już więcej wracać nie chcę! I balibyśmy się tego, gdyż dla nas byłaby to tragedia. Tyle się złego słyszy o Polsce i to z ust „polskich"...

Otóż nie! Jurek nie tylko wrócił zachwycony i zbudowany, lecz wprost umiłowany do swej Ojczyzny i podobno nawet bił się z jakimś chłopakiem, który ubliżał Polakom... Na pytanie, gdzie wolałby żyć, odpowiedział bez namysłu, całym sercem — w Polsce! A nie boisz się polskiej biedy? — dumnie odpowiedział: w Polsce „kloszardów" nie ma!...

Co go najbardziej „zamarkowało"? Serdeczność, braterskość, uczuciowość, która we Francji nie ujawnia się tak jak tam. Indywidualność, która cechuje życie społeczne Francuzów... nie pozwala na rzewność i sentymentalność, którą Jerzyk „odkrył" dopiero w kraju...

Jurek prosił i nalegał, aby napisać i podziękować za wszystko, co chętnie czynimy i całym sercem wyrażamy naszą wdzięczność za opiekę nad nim i za danie mu tego moralnego zastrzyku polskości..."

Podobne listy nadchodzą od prawie wszystkich wychowanków z zagranicy lub od ich rodziców. Są one najlepszym dowodem tego, jak dobrą „robotę" spełnia nasza łódzka placówka.

HERMANN BROCH

Przełożył: JAN KOPROWSKI

Hermann Broch, przeżywający w dziesięć lat po swojej śmierci (zmarł 30 maja 1951 r. w New Haven w Ameryce), prawdziwy renesans w krajach niemieckiego obszaru językowego, był nie tylko znakomitym powieściopisarzem (jego „Niewinni" ukazali się niedawno nakładem „Czytelnika") i filozofem, zajmującym się zagadnieniami psychologii masowej. Był również poetą. Twórczość poetycka Brocha w wydaniu zbiorowym jego dzieł (Rheinverlag Zurich) obejmuje pokaźny tom wierszy, pisanych w różnych okresach jego życia. Drukowane tu utwory łączy obsesyjny u Brocha problem powrotu w czas miniony, w przeszłość zamkniętą i nieodwracalną.

J. K.

1500 metrów ponad zwierciadłem morza

Ponad urwistym brzegiem nachyla się
sosna
i od brzegu do brzegu
skalistego ogrodu
ogląda niebo kwiatów!
O, gdyby przeszłość pękła
jak ziemia,
pękła skamieniała pod łagodnym twardym niebem
i ukazała zatopione.
Dźwięczą dzwonki połonin.
A przeszłość otwiera pijane oko
i zasypia.

Wergiliusz na śladach Orfeusza

Kto wie tylko tyle, ile wie, nie zdoła tego
wypowiedzieć.
Dopiero, gdy wiedza samą siebie przerasta,
staje się słowem,
dopiero w niewyrażalnym rodzi się
wyrażalne.
I człowiek obarczony boskością,
musi wciąż na nowo przekraczać granicę
i wznosić się
ku miejscu po tamtej stronie, ku cieniom
miejsca wiedzy zapomnianej, z którego powrót
trudny jest
i jedynie niewielu dostępny.
Lecz kształtowanie tego, co ziemskie
powierzono tym,
co przebywali w ciemności, a przecież
oderwali się od niej,
by jak Orfeusz bolesny podjąć powrót.

Nim powstałem

Gdy przyglądam się dolinom,
nad którymi chmur kłębiska,
a w nich blaski słońca giną —
ziemia jawi mi się bliska.

W ziemi mojej spałem wieki
pod konarem drzewa zgiętym.
Wszelka wiedza: liści rzeki,
ja: przez Boga w niej poczęty.

Dzień i noc — złączone cienie,
czas osuwa się bezgłośnie.
Ja bezgłośnie wstałem z ziemi,
za mną ciemna ziemia rośnie.

Mrok powiększa konar buka,
łąkę, świerki srebrnobiałe.
Wciąż pejzażu tego szukam,
który był, nim ja powstałem.

Ja, bóg, którym w tobie czekał,
którym w tobie począł siebie.
Ziemio wielka i daleka,
chmuro mknąca gdzieś po niebie.

Nie odnajdę tych pejzaży
aż do kresu, aż do grobu,
kiedy śmierć o dziecka twarzy
wgłąb pociągnie mnie za sobą.

Powrót

Noc gwiazdy moje gasi w ciemności,
jedną po drugiej z nieba zmiata.
lecz światło mej latarki mości
drogę do domu po wielu latach.
A dom mój w swojej maleńkości
kryje najdalsze dalekości
całej ogromnej budowy świata.

Chwil tak okrutnych nigdy nie było,
lecz wszystko, czegom nie utracił,
w tej czarodziejskiej izbie ożyło.
Dalekość mieszka w mojej chacie,
której na zawsze oddałem miłość.
Zbliża się mroczna śmierci zawiłość
a we mnie jasność, jakiej nie znacie.

odgłosy TYGODNIA

Gdzie stoją worki z mąką?

Jak się dowiedzieliśmy wskutek braku odpowiednich warunków handel nasz musi w pewnych, zresztą nielicznych, wypadkach magazynować worki z mąką na nie nazbyt świeżym powietrzu, po prostu z braku magazynów worki leżą na rampach. To niedobrze i dla mąki i dla klienta.

Dlaczego tak jest? Nietrudno odpowiedzieć — 83 proc. naszych łódzkich sklepów, liczymy już z magazynami i całym tzw. zapleczem, gnieździ się na przestrzeni mniejszej niż 50 metrów kwadratowych. Ten bardzo niekorzystny fakt, pozostałość z czasów małego sklepikarstwa, powoduje że obciążenie metra kwadratowego zamiast dopuszczalnych 300 kg, wynosi u nas wcale nie tak rzadko do 900 kg.

No tak, ale czy można zaradzić złu? W dużej mierze tak, choć — rzecz prosta — gruntowna przebudowa zaplecza dla naszego handlu będzie jeszcze dość długo trwać. Można natomiast oddawać zaplanowane lokale sklepowe, gdyby nasze budownictwo nie nawalało tak szpetnie. W pierwszym półroczu miasto miało otrzymać, jak planowano, 38 nowych, porządnych lokali sklepowych, otrzymało tylko dwa, a więc — jak to się mówi — mnóstwo za mało. Miały to być głównie sklepy w dzielnicach obrzeżnych, a więc tam, gdzie są one najbardziej potrzebne. Przecież bardzo duża pod względem terytorialnym dzielnica Polesie posiada zaledwie 400 sklepów, równie rozciągnięty Widzew tylko 200, a najmniejsza i najbardziej „ściśnięta" dzielnica Śródmieście — 900 sklepów.

Na ten stan rzeczy zwróciły ostatnio uwagę Rada Narodowa, KŁ PZPR i przedstawiciele handlu. Wierzymy, że ich głosu wysłucha nasz dzielny skądinąd DBOR, jeżeli nie słyszy powtarzanych od lat głosów zwykłych sobie klientów.

Filozof od białych myszek

Od czasu, kiedy mojemu przyjacielowi zaczęły się pokazywać białe myszki, pluskwy, szczury i węże — zaczęliśmy go przezywać filozofem od białych myszek. Oczywiście, nie wierzyliśmy w te myszy. Bredzi gość, mówiliśmy, ale że przy tym zachowywał się nieslychanie dowcipnie (żebyście widzieli jego miny, urodzony aktor!) śmialiśmy się serdecznie. Mój przyjaciel przy każdym kieliszku powtarzał: raz kozie śmierć, a myśmy to przerobili: raz myszce śmierć! Chcieliśmy te myszki przyjacielowi jakoś wyperswadować, bo już zaczynało nas to nużyć. Niestety, nie udało się.

No, przyznaję, piliśmy. Były imieniny — piliśmy, ślub koleżanki — piliśmy, przyjechał brat — szliśmy natychmiast oblewać tę okazję do „Słonia" albo do „Halki". Z czasem nauczyliśmy się wstępować tam („na jednego") każdej soboty. Wkrótce odkryliśmy, że niesly chanie przyjemnie jest zakończyć każdy dzień pracy w barze, znacie ten bar przy kolei, jest tam bardzo fajny kelner, lekko garbaty, dowcipny gość. Mój przyjaciel (dowiedziałem się o tym później) zaczynał dzień również od kieliszka.

Znudziły nam się w końcu te myszki. Mieliśmy zamiar rozprawić się z nimi generalnie

(poszliśmy do baru, we trzech zamówiliśmy na razie literek), kiedy z przyjacielem zaczęło się dziać coś niezwykłego. Zaczął drżeć, szczękać zębami, zaczęły mu się trząść ręce i nogi. Cóż to, zawołałem, febra cię bierze na taki upał? Ale on nic nie odpowiedział, piana wystąpiła mu na usta, twarz stała się sina, oczy szkliste i nieruchome, garbaty kelner przywołał telefonicznie pogotowie. A ja, a ja, nie uwierzycie, zobaczyłem po raz pierwszy białe myszki. Latały wokół głowy przyjaciela, wybiegały z rękawów jego marynarki...

* * *

Na pogrzebie przyjaciela nie byłem. Leżałem w tym czasie w szpitalu. Białych myszek więcej nie oglądałem. Ale jeśli mi nie wierzycie, że je kiedyś widziałem, zacznijcie tak jak ja: codziennie od jednego. Myszki się zjawią, zapewniam was.

Meliny

W ciągu jednego tylko ubiegłego roku milicja zlikwidowała 296 nielegalnych knajp w województwie kieleckim. Aresztowano jednak tylko 14 osób, bo handlem wódką przeważnie trudnią się osoby stare i niedołężne. Na starość doszli do wniosku, że handel wódką to dobry interes!

A w knajpach pokątnych zakwestionowano: 30 litrów czystego spirytusu, 403 litry wódki, 18 butelek wina, 5 tysięcy sztuk papierosów i... 3.907 kg wędlin! Morze wódy i pokaźna zagrycha!!!

Taki to piękny kwiateczek podał kielecki „Magazyn Niedzielny" nr 193 z dnia 13—14 lipca 1963 r.

Autor tej notatki nie wysilił się na jej upiększenie. Podał tylko nagi fakt, dodając smętne zakończenie o „morzu wódy!"...

To całe „morze wódy" sprzedaje się w nielegalnych knajpach i nie tylko na terenie województwa kieleckiego — ale na terenie całego kraju. Bo przecież liczby podane z terenu województwa kieleckiego trzeba pomnożyć przez siedemnaście województw, dodać jeszcze „plony" z kilku większych miast, gdzie również bujnie kwitnie ten „dobry interes", a dopiero wówczas nabiorą one właściwej wymowy.

Jedno w tej lakonicznej notatce jest zadziwiające, a mianowicie znikoma liczba aresztowanych konkurentów Polskiego Monopolu Spirytusowego!

Wprawdzie autor dodaje, że „handlem wódką przeważnie trudnią się osoby stare i niedołężne", ale nie powinno to być dla nikogo usprawiedliwieniem... (wiadomo, że za tymi „starymi" osobami kryją się młodzi członkowie rodziny lub znajomi). Przestępców rozpijających nasze społeczeństwo powinno się surowo karać, jak to przewidują paragrafy kodeksu karnego.

Przysłowia o pijaństwie

Towarzysz hulanek nie pomoże ci w potrzebie. (dargińskie).

Żegnaj rozumie, gdy się spotkasz z wódką. (ukraińskie)

Do nieba wysoko, do cara daleko, a do szynku blisko. (ukraińskie)

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 86. Tel. 244-79 Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zastrzeżeniem: na „Odgłosy".
Druk: RSW „Prasa Łódź Żwirki 17.
Zam. 2441 VIII 63. K-4

„Zastrzelił spokojnym ruchem pewnego ramienia..."

W sympatycznym „Przekroju" pracują, jak wiadomo, ludzie dowcipni. Niemniej, zbyt uparte polowanie na dowcip kończy się nierzadko wyraźnym niepowodzeniem.

Przykładem tego jest znana rubryka „Humor zeszytów". Po pierwsze, budzi wątpliwość sama idea rubryki, jej wychowawcze skutki. Niejedno uczniowskie potknięcie może mieć przyczynę w nie zawsze doskonałych umiejętnościach nauczycieli języka polskiego. W uczniu, wyśmianym w popularnym piśmie, można obudzić nawet zalążki kompleksu z niewiadomymi konsekwencjami. Zwłaszcza, że materiału do rubryki dostarczają, jak można przypuszczać, sami zainteresowani poloniści.

Po drugie, stare konie popełniały i popełniają w różnych wydawnictwach prasowych tyle zabawnych lub kompromitujących gaf, że błędy uczniowskie stają się na ich tle czymś szczególnie niewinnym i wybaczalnym, w dodatku: zrozumiałym!

Po trzecie... Ot, w numerze „Przekroju" z 4.VIII znajdujemy zdanie w „Humorze zeszytów" w piękny, mimo wszystko, sposób odbiegające od potocznie akceptowanego stylu wypracowań szkolnych, świadczące o niezależnej wyobraźni jego autora czy też autorki:

„Matka jest niejako naszym parasolem, który nas chroni przed deszczem, burzą i innymi niebezpieczeństwami".

Jeśli to zdanie nadesłał bezpośrednio zainteresowany polonista, należałoby poważnie porozmawiać z nim na temat jego kwalifikacji nauczycielskich. A szczerze pośmiać się można z czego innego! W opowiadaniu, znajdującym się w tym samym numerze pisma, tyle że na innej stronie, przeczytaliśmy:

„Pobiegłem do kuśnierza, patrzyłem jak składał futro z niesłychaną starannością, to futro dzikiego zwierzęcia, które jakiś nieznany człowiek w oddalonej puszczy zastrzelił spokojnym ruchem pewnego ramienia"...

Nie namawiamy jednak redaktorów pism, przeznaczonych dla młodzieży szkolnej, do założenia rubryki pt.: „Humor z wypracowań dorosłych"! To także nie byłoby bowiem pedagogiczne!

OUT.

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW

HALINA PAWŁOWICZ

W tym roku mija już dziesięć lat od chwili, w której ta utalentowana, bardzo utaneczniona i umuzykalniona aktorka związała się na trwałe z łódzkim Teatrem Powszechnym. Z długiej listy głównie komediowych ról warto tu przypomnieć Florellę w „Nauczycielu tańców". Rainę w „Żołnierzu bohaterze", Klarę w „Ślubach panieńskich", Mańkę w „Królowej przedmieścia", Podstolinę w „Fircyku w zalotach", a przede wszystkim znakomitą Józefinę w „Idiotce", którą to rolę grała również i to z wielkim powodzeniem — na gościnnych występach w Warszawie.

Obecnie Halina Pawłowicz gra Beatrycze w „Jaśnie Pan Nikt" Lope de Vegi (na zdjęciu).

Tekst i zdjęcie GERARD PUCIATO

Jeszcze raz wyrazy uznania

Listy mieszkańców naszego miasta do Komendy MO (niektóre z nich cytowaliśmy w poprzednich numerach naszego pisma) świadczą z jednej strony o rosnącym autorytecie Milicji w oczach społeczeństwa, a z drugiej mówią o trudnej i odpowiedzialnej pracy naszych milicjantów.

Nie chodzi przy tym o pomoc doraźną, której udzielają milicjanci (szybkie odnalezienie skradzionej rzeczy itp.), ale o sprawy bardziej skomplikowane, wymagające często niesłychanego taktu i wyrobienia społecznego. Oto jeden z tych listów, które chętnie publikujemy. Nadawca: Komitet Blokowy i Komitet Frontu Jedności Narodu Łódź — Bałuty. Adresat: Komendant MO w Łodzi.

„Obywatelu Komendancie, Wasz pracownik sierż. Gorzkiewicz Tadeusz został wybrany na walnym zgromadzeniu Bloku nr 5 opiekunem społecznym. Praca społeczna, którą sierż. Gorzkiewicz wykonuje jest bardzo trudna, wymaga poświęcenia i pełnego zaufania ze strony tych, którzy tę pracę Waszemu pracownikowi powierzyli. Obywatel Gorzkiewicz opiekuje się ludźmi biednymi... starymi... którym życie nie poskąpiło goryczy. Są to ludzie starani życiem, dla których pomoc opiekuna społecznego stanowi dużo. Dlatego dumni jesteśmy, że Wasz pracownik powierzoną mu pracę wykonuje doskonale i tą drogą chcielibyśmy mu podziękować..."

W sprawie świeżego powietrza

Jak wiadomo uzyskaliśmy w Łodzi swoisty rekord, z którego powinniśmy być dumni. Padł u nas najwyższy wynik, jeżeli chodzi o temperaturę w ciągu trwającego jeszcze „lata stulecia". I to rekord nie tylko w skali krajowej, ale i — podobno — środkowo-europejskiej.

Rzecz prosta taki rekord należy opić, najlepiej wodą mineralną, cóż bowiem smakuje bardziej w okresie niebywałych upałów niż „Staropolanka", „Kujawianka", albo wody szczawnickie, czy buskie, prawda? No tak, ale z wodą mineralną kłopot. Źródła, deo gratias, biją, a u nas z wodą mineralną, ze zwykłą w gruncie rzeczy wodą mineralną kłopot, trudno dostać.

Rozumiemy kłopoty np. z żyletkami. Hurtownia powiadała, że nie ma wolnych ciężarówek do przewiezienia żyletek i sprawa jest jasna. Żyletki, jak wiadomo ważą po dwadzieścia kilo każda, więc biegaliśmy bezradnie od sklepu do sklepu, aż nasze władze miejskie i partyjne przekonały dyrektora hurtowni, że żyletki można przewozić jego służbowym samochodem, co się też stało, amen. Sprawa załatwiona, zażyletczenie miasta poprawiło się ostatnio. Ale sprawy wody mineralnej nie można załatwić na miejscu, wodę przydzielą się bowiem w Warszawie, woda spływa do nas ze szczebla centralnego. Kiedyś Łódź przywoziła sobie sama wodę z Polanicy, ale teraz nie, Warszawa musi przydzielić, planować, limitować, wyrabiać normy i tak do zimy zejdzie.

Skoro już przydzielamy centralnie wodę mineralną, czemuż by nie pójść dalej? Można na początek rozdzielać centralnie świeże powietrze, potem zapachy dla kwiatów, dobry humor, a na końcu zdrowy rozsądek. Prosimy o oklaski za nasz pomysł, dobry co?

Juliusz Osterwa

Juliusz Osterwa zaangażowany z Teatru Wileńskiego do Teatru Małego w Warszawie, już po pierwszym występie stał się ulubieńcem kobiet. Zasypywały go kwiatami, podarkami, wyczekiwały przed teatrem.

Pewnego popołudnia jedna z wielbicielek zatelefonowała prosząc, aby ją odwiedził.

— Pan jest taki śliczny... taki miły... szczebiotał słodki głosik.

— Psiakrew! Czy dlatego, że jestem miły i śliczny nie mogę się przespać do obiedzie!